



Najważniejsze by był spokój i praca — mówi przodka Wiesława Kownacka.

Jak wyjść na swoje, czyli...

Trudne liczenie „Emilii”

Jeszcze kilka tygodni temu, gdy pojawiła się kaszanka czy baleron, dudniły schody od zbiegających w dół do zakładowego bufetu. Dziś dostęp do niego jest swobodny, mimo że za szklm leżą kilogramy wyborowej kielbasy i baleronu.

— Ceny są takie — mówi przodka Wiesława Kownacka — że ludzie liczą się z każdą złotówką. Nie powiem, że są u nas złe zarobki, można „wyciągnąć” osiem tysięcy, do tego doszła rekompensata, ale przecież życie tak bardzo zdrożało. Trzeba coś kupić do domu, ubrać się... Dlatego zakładowy bufet powinien być zaopatrywany na robotniczą kieszeń, to jest w większą ilość tańszych wędlin.

Ludzie dziś i czają, zastanawiają się jak wypadnie miesięczny budżet rodzinny. Ale pracownicy Zakładów Przemysłu Węglowego im. Emilii Plater w Wasilkowie liczą nie tylko złotówki. Tu, przy przedziałach maszyn, liczą każdy zaoszczędzony kilogram odpadków, łącznie z kurzem; w drugiej hali, przy krosnach — każda

do końca wyrobioną osnowę i wątek, a w budynku administracyjnym, co bieglejsi w rachunkach kosztów, każdy element w nowych układach cenowych zaopatrzenia i zbytu.

Niemal wszystkich nurtują dwa problemy: przetrwanie przez krytyczny okres braków surowca i wyjścia na swoje pod koniec roku. Na pytanie: o czym najczęściej rozmawia się, Wiesława Kownacka odpowiada: o tym, żeby był spokój i była praca.

Z DNIA NA DZIEŃ

Dziś — mówi Kownacka — inna jest w zakładach atmosfera niż kilka lat temu. Ludzie stali się jacyś nerwowi. Skąd ta odmiana? Z życia i z pracy. O, proszę, z braku surowca stoją trzy zespoły zarzebiarskie i przedzarki. Bierze się więc odpadki, wszystkie śmiecie, segreguje i kieruje do powłóki przeróbki. Jednak odpadkami nie wypełni się surowcowej luki. Nie więc dziwne, że ludzie boją się redukcji. — A już — zwraca się do dyrektora Dąbrowskiego — wszyscy wykorzy-

stali na poczet bieżącego roku po tygodniu urlopu.

Jeszcze w gorszym nastroju z racji swego stanowiska jest naczelny dyrektor mgr inż. Jerzy Dąbrowski. Doskonale fachowiec, jeden z najlepszych w branży, dwój się i trój, żeby utrzymać i tak zwolniony rytm produkcji. Niezły wypadek styczeń, jeszcze w lutym gdzie się na zapasach, które z 300 ton skurczyły się do 100, ale co będzie w końcu marca?

Kiedy to mówi, do pokoju wchodzi z delegacją w ręku kierownik działu surowców — Bogdan Aleksandrowicz. Dopiero co wrócił z Łodzi i Łęczycy, a już jedzie do Jeleniej Góry. Tak przejeżdżał dwie trzecie stycznia. Lecz te rozjady są konieczne. — Jadę po surowiec — mówi — proszę i błagam tak długo aż załadują wagon czy chociażby samochód. Teraz jadę po argonę i glinę.

— Przy opracowywaniu tegorocznego planu — mówi dyrektor — braliśmy pod uwagę sytuację zaopatrzeniową i w zatrudnieniu. Bo i

ciąg dalszy na str. 3

Wznowienie działalności Komitetu ds. Zw. Zawodowych

WARSZAWA (PAP) — Biuro prasowe rządu informuje, że wznowił działalność Komitet Rady Ministrów do spraw Związków Zawodowych.

Poprzednio jego niektóre funkcje przejął na pewien czas Komitet Społeczno-Polityczny rządu.

Wznowienie działalności wynika z potrzeby wyciągnięcia wniosków z rozmów z działaczami związkowymi, toczonych w ciągu dwóch ostatnich miesięcy przez ministra d/s współpracy ze związkami zawodowymi i biuro d/s związków zawodowych. Komitet podjął opracowywanie stanowiska wobec przyszłości ruchu związkowego i założeń funkcjonowania ruchu zawodowego w Polsce, których ogłoszenie zapoczątkuje dyskusję publiczną na ten temat.

Komitet do spraw Związków Zawodowych będzie śledzić przebieg tej dyskusji i wyciągać z niej wnioski.

Wzrosły zapasy węgla w portach

SZCZECIN (PAP) — 17 bm. znajdowało się w Świnoujściu 245 tys. ton węgla, w Szczecinie — 122 tys. ton. W ciągu doby przywozi się tu z kopalń przeciętnie 20 tys. ton węgla. Jeżeli się stałki, to w tym czasie wywozi się zaledwie po kilka tysięcy ton. Łącznie od początku lutego do 18 bm. wyeksportowano prawie 69 tys. ton. Najbliższe dni zapowiadają pewien wzrost załadunków węgla. Do Świnoujścia ma zawinąć po węgiel fiński statek „Faloo”, następnie masowiec PZM „Podhale” a tuż po 20 lutym inny masowiec PZM 64-tysięcznik „Huta Katowice”.

Szef dyplomacji Luksemburga krytykuje strategię polityczną Białego Domu

WASZYNGTON (PAP) — Przebywająca w USA, minister Spraw Zagranicznych Luksemburga, Colette Flesch spotkała się w środę z dziennikarzami w waszyngtońskim klubie prasowym.

Colette Flesch wezwała USA, by zdały sobie sprawę z politycznych niebezpieczeństw, które z obecnych trudności gospodarczych wynikają mogą dla Europy Zachodniej.

Flesch, która przeprowadziła w stolicy USA rozmowy z szeregiem politykami amerykańskimi, stwierdziła, że między USA i Europą Zachodnią występuje w zasadzie zgodność w podstawowych problemach. Głębokie różnice występują natomiast w dwóch sprawach. Europejczycy są bardziej, niż Amerykanie świadomi niebez-

magazyn Gazeta Współczesna

DZIENNIK POLSKIEJ ZJEDNOCZONEJ PARTII ROBOTNICZEJ

Nr 36 (9554)

Białystok — Łomża — Suwałki, 19-20-21 lutego 1982 r.

NAKLAD: 195.277

Cena 4 zł

Ważna nowa inicjatywa krajów socjalistycznych

Wystąpienie ambasadora St. Przygodzkiego na wiedeńskich rokowaniach rozbrojeniowych

Korespondent PAP, Franciszek Malinowski, relacjonuje: Szef polskiej delegacji na wiedeńskie rokowania rozbrojeniowe amb. STANISŁAW PRZYGODZKI podczas kolejnego, 296-go posiedzenia delegacji siedmiu państw socjalistycznych i dwunastu krajów NATO zgłosił 18 bm. w imieniu CSRS, NRD, Polski i Związku Radzieckiego nową, ważną inicjatywę rozbrojeniową. Przedłożył on w charakterze oficjalnego dokumentu negocjacji projekt porozumienia o pierwszym etapie wzajemnej redukcji sił zbrojnych i zbrojeń w Europie Środkowej oraz środków im towarzyszących.

Przedstawiciel Polski, który przewidywał też czwartkowym obradom, przypominał wysiłki krajów socjalistycznych dla osiągnięcia pierwszego porozumienia w rozmowach wiedeńskich. Podkreślił mocne przekonanie krajów socjalistycznych, że szybkie zawarcie takiego porozumienia jest

nie tylko możliwe, ale naprawdę niezbędne. Rzecznik delegacji polskiej, Janusz Rychnak poinformował, iż projekt porozumienia przedstawiony przez amb. S. Przygodzkiego składa się z preambuły i pięciu rozdziałów. Jest to projekt kompleksowy, wnikliwie wyważony doku-

ment, uwzględniający stanowisko obu stron i zawierający wszystkie elementy porozumienia w sprawie pierwszego etapu redukcji.

W preambule określono cele i zadania państw — stron porozumienia. Z treści preambuły wynika również, że konkretne kroki w sprawie redukcji sił zbrojnych i zbrojeń w Europie Środkowej będą przeprowadzane w oparciu o ścisłe przestrzeganie zasady nieumniejszania bezpieczeństwa żadnej ze stron. Przewidziano także, że strony — państwa uczestniczące przeprowadzą redukcję sił zbrojnych i zbrojeń w dwu etapach.

Ciąg dalszy na str. 2

To jest to!

Wiecej takich wyrobów

KRAKÓW (PAP) — Już 100 ton rur stalowych powlekanych tworzywami sztucznymi wyprodukował na uruchomionej z początkiem br. prototypowej linii produkcyjnej krakowski kombinat metalurgiczny im. Lenina. Cała linia jest dziełem pracowników HIL i Fabryki Maszyn Kablowych w Krakowie. Jej roczna zdolność produkcyjna wynosi 10 tys. ton rur o średnicy od 60 do 159 mm i powłoce do 3 mm. Budowa linii kosztowała 58 milionów złotych, a wszystkie prace budowlane i montażowe trwały dwa lata.

Linia do produkcji rur stalowych powlekanych tworzywami sztucznymi jest jedną tego typu w krajach socjalistycznych; podobna, ale zakupiona w Austrii działa w NRD. Rury powlekane tworzywami stosowane do przekazywania wody i gazu powinny wytrzymać w ziemi 50 lat. Do tej pory takie rury sprowadzaliśmy z RFN.



Panny krasne i gładkie z szopką.

Fot. Z. Lenkiewicz

Państwo przyjmą z gwiazdą

13 lutego w Kalinowie

Królewskiej, wsi na półmurowanej, odbył się pierwszy po ośmiu latach milczenia, wojewódzki przegląd zespołów kołedniczych. Jury nagrodziło je pięcioma mieczami. Pierwszy miecz przypadł w udziale kołednikom ze wsi Stadniki (region Siemiatycki) — za chodzenie z kóz. Poza to miecze otrzymali: kołednicy ze szopką „Przytulanki” (ze wsi Przytulanka) — za piękne melodyjne kołędy i pastorałki; „Kuleszki” z Kulesz, „Kleokietki” z Bociel i gospodarze z przegładu — zespół „Kalin” z Kalinówki Królewskiej.

Nie przyszli prosto z polnej drogi do chaty, z gwiazdą i kołędą. Nie siedli za stołem z gościnnym gospodarzem, pospół, żeby rozgrzać się gorzaleczką i ciepłą strawą. Zajechali głośno, autokarami. Na wiejską drogę wysypali się białe anioły, kolorowe Herody, żołnierzy tak zwany dziwnym trawem na białostockie rozstaje, panny krasne i gładkie w pasiastych spodniach, ciężkich ciasno serdakach i krochmalonych far-

tuchach. Z wiejskiej drogi weszli nie do krytej siomachaty, lecz na scenę „uskładanego” z cegieł klubu. I zaczęło się śpiewanie. Prym wiodł organista z niedalekiej Jasionówki. Śpiewał z przejęciem, mocnym tubalnym głosem, przyszykując sobie na organach (elektrycznych) Zahuczało pod malowaną betlejemską gwiazdą: „W żłobie leży, któż pobięzie kołedować małemu...”. Po chwili z daleka, najpierw słabo, potem wyraźniej dał się słyszeć dźwięk kołaki. Na scenę wtoczyli się pasterscy, anioły, pobekujący kóz, noszący się z wysoka krowy, wykról Herod, co to wszystkie dzietki powyrzynają kazał, gdy się tylko zwiędział, że „w Betlejem mieście stała nowina, że Panna Czysta powiła syna”.

Kreśliły się kolorowe, pozbysujące od zapalanej świeczki gwiazdy. Jedną za drugą miały pastorałki i kołędy.

Na scenę wbiegł chłopak we włożonym na opak kożusku. Zagadnął wesoło:

— Proszę państwa, można sprzenotać kóz?

— Można! — zakrzyknęli

chórem kalinowscy gospodarze.

— Chodźcie chłopcy! — machnął zachęcająco w kierunku ukrytych współkołedników. Na sygnał upadła potykająca się gromada. I zaczęło się śpiewanie — za głon pieroga, za pęto kielbasy, kilka groszy na wódkę. Kóz wyczyniała niesamowite harce. Boda dzieciaki i piskliwe panienki. Kołednicy wyspiewywali jak to: „Jechali strzelcy kół dworów, strzelili kóz”. A była to kózka starego Żyda. Żyd narobił gwałtu na całą wieś: — Nu, jestem biedny Żyd jechał, przemijając się gospodarzom. — Dajcie sto złotych na to beczysko.

Tymczasem zraniona srode kóz leży — ani drgnie. — Nu, panie doktorze — zawodził dalej — polikowad mnie kóz...

— Kózę polikowad? Drogo będzie kosztować — targuje się doktor od wszystkich boleści.

— Nu, u Żyda nie brakuje pieniędzy — miękkie właściciel kóz i rudych pejsów. — W każdym kółku po dziesiątku, pod pachami tysiącami, pod piętami milionami.

Ciąg dalszy na str. 4



Nowy rząd Finlandii

● HELSINKI. W środę został utworzony nowy rząd Finlandii, na czele którego stanął socjalista Kalevi Sorsa. W skład tego gabinetu weszli przedstawiciele Partii Socjaldemokratycznej, Partii Centrum, Demokratycznej Związku Narodów Fińskiego i Partii Szwedzkiej, a więc tych samych partii, które uczestniczyły w poprzednim rządzie koalicyjnym Mauno Koivisto, obecnego prezydenta Finlandii.

Labourzyści na czele

● LONDYN. Konserwatywny dziennik „Daily Telegraph” opublikował w czwartek wyniki ankiety Gallupa na temat popularności partii politycznych w Wielkiej Brytanii.

Wybory w Irlandii

● LONDYN. W czwartek o godzinie 19 czasu lokalnego, w Republice Irlandii rozpoczęły się przedterminowe wybory parlamentarne.

Około 2,2 mln uprawnionych do głosowania Irlandczyków wybierze nowy skład Izby Posłów (Irish Dáil).

Irlandzcy wyborcy 165 członków Izby spośród 364 kandydatów.

Przygotowania USA do interwencji

● WASHINGTON. Agencja AP donosi, że minister Obrony Stanów Zjednoczonych, Caspar

Weinberger polecił dowództwu interwencyjnym sił szybkiego reagowania, aby niezwłocznie opracowały program „elementalnych działań” w rejonie Zatoki Perskiej w przypadku „podjęcia przez wewnętrzne elementy wywołujące prób obalenia istniejących rządów” w tym rejonie.

Inaczej mówiąc, chodzi o plany USA w sprawie zduszenia wystąpień naródów tego obszaru, które godziłyby w miejscowe interesy Zachodu.

Starcia zbrojne w Libanie

● BEJRUT. W środę doszło do kilkugodzinnej potyczki między antamirantycznymi ugrupowaniami w północnolibańskim mieście Tripoli. Z domieszczeń antamirantycznych wynika, że w incydencie zbrojnym uczestniczyli formacje zwolniczące się sił libańskich i palestyńskich falcami.

Intensywność oddziały arabskiego korpusu bezpieczeństwa kładąc kres walkom, w których zginęło co najmniej 7 osób.

Wojna iracko-irańska

● DELHI. Komunikaty rozpowszechniane przez dowództwo wojskowe w Teheranie i Bagdadzie świadczą, że w rejonie miasta Bostan w Chuzestanie (Iran południowo-zachodni) toczą się już 12 dzień z rzędu walki między wojskami irackimi i irańskimi. Obie strony podają sprzeczne informacje o stratach i sukcesach wojennych.

„Kosmos-1339”

● MOSKWA. Jak informuje Agencja TASS, w czwartek w Związku Radzieckim ukończono ostatni etap prac nad umieszczeniem na orbicie okołoziemskiej kolejnego sztucznego satelity Ziemi „Kosmos-1339”.

ku litewski książę Gedymin. Według tej popularnej, nie tylko w odniesieniu do Białegostoku legendy, syn wielkiego Mendoga zapędził się za turem na polanie nad białym potokiem (stokiem). Tu po szczęśliwym dopadnięciu zwierzęcia książę usnął i miał dziwne widzenie, które towarzyszyły Gedyminowi kapłan Litewko wywodził jako wolę bogów, by na miejscu obozowiska książę zbudował gród mający przydać blasku okolicznym ziemiom.

Hipoteza doc. Wasilewskiego

Bajeczki o założeniu Białegostoku przez Gedymina nie broni żaden historyk. Co gorzej — kolorowe malowidło Rybiego też budzi zastrzeżenia. Z polemizacji hipotezę wystąpił przed kilku laty doc. dr Tadeusz Wasilewski z Uniwersytetu Warszawskiego. Jego zdaniem, przywilej miejski otrzymał Białystok nie z rąk ostatniego Sasa — Augusta III, lecz znacznie wcześniej.

Doc. Wasilewski — jeden z autorytetów w zakresie historii XVII wieku, znawca dziejów Podlasia i Litwy (wydał niedawno „Autobiografię” Bogusława Radziwiłła) — twierdzi, że August III, korzystając chętnie z zaproszeń Jana Braniczkiego na ucztę i polowania — uhoneował magnatą nadaniem przywileju miejskiego jego posiadłości. Ale nie musiało to być nadanie pierwsze. Potwierdzeń przywilejów nadanych wcześniej znany w historii krocze. Przytoczył przykład Szaroczyna, będącego własnością Antoniego Szucki — referendarza koronnego na dworze Sobieskiego. Po raz pierwszy miasto otrzymało prawo mag-

Ciąg dalszy na str. 5

Miasto bez metryki?

Piękne kobiety ukrywają datę swych urodzin, niektóre nawet fałszują metrykę urodzenia. W przypadku zabytków sztuki, miast czy państw w najwyższej cenie są najstarsze rodowody. Patyna ma dodawać prestiżu. Zdarza się jednak, że tradycja rwie się. Zanikają gdzieś najstarsze ognia i chociaż nie chcą historia ulega okrojaniu. Czasem zagubione ogniwo zastępuje słabrykowane surogaty...

W duchu mody retro niezbyt wiekowy Białystok zafundował sobie sztuczną „Starówkę”. Wy-

budowane w latach Polski Ludowej domy przy Rynku Kościuszki malarze wyretuszowali na zabytki. Na fali

archaizacji zamówiono fresk przedstawiający nadanie Białegostokowi praw miejskich. Plastyk — Stefan Rybi namalował żądaną scenę, ale sam chyba nie był pewien, czy jego wyobraźnia pokrywa się z prawdziwą historią. Żeby nie było nieporozumień fresk opatrzyl podpisem: „Nadanie praw miejskich — 1749”.

Pod presją obrazu przewodniczy wycieczek musieli wykreślić z repertuaru bajeczki, iż Białystok założony w 1320 ro-

Ważna nowa inicjatywa krajów socjalistycznych

Ciąg dalszy ze str. 1

Pierwszy rozdział projektu porozumienia zawiera definicję: podmiotu porozumienia, obszaru redukcji, zastosowania środków w ramach redukcji i przedmiotu redukcji. Określono, że redukcja to zmniejszenie produkcji i konsumpcji w celu osiągnięcia równowagi ekologicznej i ekonomicznej. Redukcja to zmniejszenie produkcji i konsumpcji w celu osiągnięcia równowagi ekologicznej i ekonomicznej. Redukcja to zmniejszenie produkcji i konsumpcji w celu osiągnięcia równowagi ekologicznej i ekonomicznej.

Ważnym elementem porozumienia jest definicja redukcji. Redukcja to zmniejszenie produkcji i konsumpcji w celu osiągnięcia równowagi ekologicznej i ekonomicznej. Redukcja to zmniejszenie produkcji i konsumpcji w celu osiągnięcia równowagi ekologicznej i ekonomicznej. Redukcja to zmniejszenie produkcji i konsumpcji w celu osiągnięcia równowagi ekologicznej i ekonomicznej.

Porozumienie przewiduje, że redukcja będzie dokonywana w sposób stopniowy i selektywny. Redukcja będzie dokonywana w sposób stopniowy i selektywny. Redukcja będzie dokonywana w sposób stopniowy i selektywny. Redukcja będzie dokonywana w sposób stopniowy i selektywny.

Niższe ceny niektórych przetworów mleczarskich

WARSZAWA (PAP) — Obojętną nową inicjatywą jest obniżenie cen niektórych przetworów mleczarskich. Decyzję o obniżeniu cen podjęła Komisja Ceny Obojętności. Decyzję o obniżeniu cen podjęła Komisja Ceny Obojętności. Decyzję o obniżeniu cen podjęła Komisja Ceny Obojętności.

RFN podejmuje restrykcje wobec ZSRR i Polski

BONN (PAP) — Rząd zachodniemiecki podjął szereg środków restrykcyjnych wobec Związku Radzieckiego i Polski. Rząd zachodniemiecki podjął szereg środków restrykcyjnych wobec Związku Radzieckiego i Polski. Rząd zachodniemiecki podjął szereg środków restrykcyjnych wobec Związku Radzieckiego i Polski.

Kiedy poznamy skutków podwyżek cen

WARSZAWA (PAP) — Podwyżka cen wywoła daleko idące zmiany w budżetach rodzinnych. Skala oraz kierunki tych zmian mają podstawowe znaczenie dla kształtowania polityki dochodów ludności. Podwyżka cen wywoła daleko idące zmiany w budżetach rodzinnych. Skala oraz kierunki tych zmian mają podstawowe znaczenie dla kształtowania polityki dochodów ludności.

Komitety Ocena Narodowego w terenie

W Bielsku Podlaskim ukonstytuował się niedawno M.eks. Społeczny Komitet Ocena Narodowego. Podczas pierwszego, organizacyjnego spotkania, które odbyło się z inicjatywy grupy aktywistów partyjnych i z udziałem I sekretarza KM PZPR Leoncjusza Parafiniaka, wzięło udział 23 osoby. Wszyscy obecni zgodzili się, że zadaniem komitetu jest ocena sytuacji w terenie.

Zbrodniarz wojenny oskarża zachodniemieckiego pisarza o zniesławienie

BONN (PAP) — Korespondent PAP Juliusz Solecki pisze: Przed sądem w Monachium rozpoczął się 17. proces o zniesławienie, wytoczony przez zbrodniarza wojennego, który oskarża zachodniemieckiego pisarza o zniesławienie. Przed sądem w Monachium rozpoczął się 17. proces o zniesławienie, wytoczony przez zbrodniarza wojennego, który oskarża zachodniemieckiego pisarza o zniesławienie.

Zimbabwe Nkomo usunięty z rządu

SALISBURY, LONDYN (PAP) — W Zimbabwe usunięto z rządu Roberta Mugabe. Usunięto z rządu Roberta Mugabe. Usunięto z rządu Roberta Mugabe. Usunięto z rządu Roberta Mugabe.

Wznowienie „Polityki”

WARSZAWA (PAP) — W Warszawie wznowiono wydanie „Polityki”. W Warszawie wznowiono wydanie „Polityki”. W Warszawie wznowiono wydanie „Polityki”. W Warszawie wznowiono wydanie „Polityki”.

Kłopotów usługowych ciąg dalszy Nowe ceny części samochodowych

Wraz z uruchomieniem sprzedaży paliw ponownie wzrosło zainteresowanie samochodami. Ludzie posiadający auta zwracają uwagę na nowe ceny części samochodowych. Wraz z uruchomieniem sprzedaży paliw ponownie wzrosło zainteresowanie samochodami. Ludzie posiadający auta zwracają uwagę na nowe ceny części samochodowych.

Wznowienie „Polityki”

WARSZAWA (PAP) — W Warszawie wznowiono wydanie „Polityki”. W Warszawie wznowiono wydanie „Polityki”. W Warszawie wznowiono wydanie „Polityki”. W Warszawie wznowiono wydanie „Polityki”.

Radziecki statek spieszył na pomoc

OTTAWA (PAP) — Przywódca większości rządowej w senacie kanadyjskim, Raymond Perrault, oświadczył w parlamencie, że radziecki statek spieszył na pomoc. Przywódca większości rządowej w senacie kanadyjskim, Raymond Perrault, oświadczył w parlamencie, że radziecki statek spieszył na pomoc.

Doniesienia Agencji

W ostatnim dniu narciarskich mistrzostw Polski w Szczyrkach rozegrano slalom gigant mężczyzn. W ostatnim dniu narciarskich mistrzostw Polski w Szczyrkach rozegrano slalom gigant mężczyzn.

W następnym numerze:

● UCIECZKI DO NIKAD — o bolesnych sprawach młodzieńców uciekinierów z domów rodzinnych (ale nie tylko) pisze Stanisław Fiedorowicz.
● WZORY NA OŚCZĘDNOŚĆ — druga część artykułu Mariana Suchożębskiego, próbującego znaleźć odpowiedź na pytanie: Gdzie szukać zbrodni? Dodajmy, że autor zacierpiał przykład z gospodarki rolnej Białostoczniny.
● ZBIOROWE MYŚLENIE I DZIAŁANIE — o partii w komunistycznych Zakładach Przemysłu Bawełnianego „Narew” pisze Zenon Piechocki.
● NA STRAŻY SPOKOJNEJ PRACY — fotoreportaż Sylwestra Barskiego i Jana Malca o działalności oddziału Obrony Cywilnej w białostockich Zakładach Podręczników Telewizyjnych „Unitra-Biały”.
● WYMAGANIA ROSNA — A MOŻLIWOŚCI? — zastanawia się Irena Biernacka — w rozmowie z przedstawicielami administracji państwowej.

Wznowienie „Polityki”

WARSZAWA (PAP) — W Warszawie wznowiono wydanie „Polityki”. W Warszawie wznowiono wydanie „Polityki”. W Warszawie wznowiono wydanie „Polityki”. W Warszawie wznowiono wydanie „Polityki”.

Wznowienie „Polityki”

WARSZAWA (PAP) — W Warszawie wznowiono wydanie „Polityki”. W Warszawie wznowiono wydanie „Polityki”. W Warszawie wznowiono wydanie „Polityki”. W Warszawie wznowiono wydanie „Polityki”.

Wznowienie „Polityki”

WARSZAWA (PAP) — W Warszawie wznowiono wydanie „Polityki”. W Warszawie wznowiono wydanie „Polityki”. W Warszawie wznowiono wydanie „Polityki”. W Warszawie wznowiono wydanie „Polityki”.

Wznowienie „Polityki”

WARSZAWA (PAP) — W Warszawie wznowiono wydanie „Polityki”. W Warszawie wznowiono wydanie „Polityki”. W Warszawie wznowiono wydanie „Polityki”. W Warszawie wznowiono wydanie „Polityki”.



Pocztówka z Kopenhagi

(KORRESPONDENCJA WŁASNA)

Kiedy bywałam w Kopenhadze, a zdarzyło się to już parokrotnie, zawsze odnosiłam wrażenie, iż jest to miasto, które warto jeszcze raz odwiedzić. I nie sądzę, aby pogląd ten był odosobniony.

Co minuta lądują na kopenhaskim lotnisku Kastrup samoloty z różnymi znakami. Wkrótce potem pasażerów tych samolotów można spotkać oglądających na placu przed pałacem Amalienborg parady z okazji święta. Inni pedzą na Langelinie, by sfotografować się w towarzystwie Lille Havfrue, czyli kopenhaskiej syrenki, która od 69 lat pozuje cierniowie na kamieniu do zdjęć.

Jeszcze innych można spotkać w którymś z 70 blisko muzeów Kopenhagi, nie mówiąc już o sklepach, macedzynach, supermarketach, w których nadmiar towarów wypływa wprost na zewnątrz, niemal pod nogi przechodniów. Niewybredny tłumek turystyczny tłoczy się natomiast w porośniętych przez Lavenstrasse, opodal purytańskiego w swej surowej architekturze ratusza, a także w kinach za jedne 30 koron, gdzie pokazują seks we wszystkich możliwych i zdrażających się niemożliwych ułożeniach z sdomnia i neofilia wlicznie. Cóż, są różne gusta.

Znając Kopenhagę w miarę dokładnie z turystycznego punktu widzenia, tym razem swoją uwagę miałem skierować głównie na sport w kulturze fizycznej. Dania jest pod tym względem ciekawym krajem. Nie ma wielkich sukcesów w wyścigach, ale na meczach piłkarskich jest największa frekwencja w Europie.

Podobno co drugi Duńczyk uprawia sport systematycznie, dla przyjemności i zdrowia. Nie tylko dlatego, że codziennie rano rowerem do pracy, po prostu do szkół i uczelni. To sport stał się w nich stałym nawykiem, rower tanim i pożytecznym środkiem lokomocji, a przy tym stworzono Duńczykom doskonałe obiekty sportowe.

Pierwszy dzień pobytu w Kopenhadze odsunął jednak sport z drugiego planu. Co krok można było w Gładsaxe (75-tysięczna nowa dzielnica Kopenhagi) spotkać zółte plakaty i ulotki informujące o zbliżającym się referendum. Zapytaliśmy Polaka, który przyjechał do Danii, czy nie ma w Danii jakiegoś rodzaju cenzury politycznej. Prasa, radio i telewizja szeroko informują o bieżących wydarzeniach, było to kilka dni przed ogłoszeniem w naszym kraju stanu wojennego w Polsce, o kryzysie ekonomicznym.

Rozwój gospodarki duńskiej może być jakimś po-

LESZEK TARASIEWICZ

c. d. ze str. 1

w zatrudnieniu sytuacja się zmienia. W końcu ubiegłego roku i na początku bieżącego odeszło 125 osób, a prawie 50 ubiega się o emeryturę. Z tych dwóch powodów, zaopatrzenia i zatrudnienia, przeszliśmy z 2,5 na dwie zmiany. Tylko wykończalnia pracuje na okrągło. W przeciwnieństwie do ubiegłego roku nie ma zatem sprawy braku ludzi. Jest natomiast sprawa utrzymania obecnego stanu zatrudnienia w podstawowych zawodach.

W tym roku zamierzamy wyprodukować 2.600 tysięcy metrów tkanin, czyli mniej o 600 tysięcy metrów od ubiegłorocznego wykonania. W planie operacyjnym pierwszego kwartału założymy produkcję 691 tysięcy metrów tkanin, to jest o 200 tysięcy metrów mniej niż w tym samym okresie 1981 roku.

Jak na średniej wielkości zakłady, dużo to spadek produkcji. Co gorsze, uzyskanie planowanych wielkości nie jest pewne nawet w obecnym kwartale.

Wprawdzie styczniowe zadania zostały wykonane i prawdopodobnie w lutym tkalnica i wykończalnia wypadnie też na plus, ale z braku przędzy, końcówka marca może być minusowa.

Inna, niezbyt pomyślna wiadomość z „Emilii”. Gros tkanin płaszczykowych, kostiumowych, ubraniowych skierowana jest do odzieżowców.

Ekspert, głównie pośredni, wzrasta o ponad 50 procent. Natomiast bezpośrednie dostawy na rynek, m.in. do białostockiego sklepu „Merino”, wyniosła zaledwie 10 procent całej produkcji.

Niestety, sytuacja gospodarcza dyktuje takie a nie inne rozdziały produkcji. Rozumiem powinności zakładow i dyrektora, który jak gdyby na usprawiedliwienie zmniejszenia dostaw rynkowych mówi, że trzeba wspomóc przemysł odzieżowy, aby też nie stanął.

Bo gdybyśmy mieli surowiec — dodaje — to na pewno i rynek więcej otrzymałby tkanin. Ale jak tu zrobić więcej w sytuacji, gdy odzyskuje się najniższe składowe, kawałki platanki, nawet kurz spod maszyn. W niektórych tkaninach odpadki wynoszą nawet 60 procent.

A przecież brak jest także środków chemicznych, w konsekwencji czego są kłopoty z kolorystyką i z realizacją umów zawartych z odbiorcami.

KARUZELA CENOWA

Pytanie zasadnicze: Czy i w jakim stopniu w tak skomplikowanej sytuacji — gdy ponadto wiele cen umownych zostało zmienionych na regulowane — działają w zakładach mechanizmy reformy gospodarczej? Czy waskilowska załoga zarobi na siebie, skoro produkcja maleje, a jej koszty rosną?

Jak na dziś, na pytania te nie ma konkretnej odpowiedzi. Okazuje się, że w dalszym ciągu w fabrycznej rzeczywistości więcej jest niewiadomych niż konkre-

cent. Jak więc sporządzić kalkulację, kiedy stosowane są przeliczniki, albo ceny z adnotacją „zastrzeżone”?

Podobnie jest z artykułami technicznymi i częściami zamiennymi. Mamy bardzo wielu dostawców, a każdy stosuje inne przeliczniki wzrostu cen zaopatrzeniowych. W większości wypadków kontrahent wyślijają ceny orientacyjne.

Niejasność jest więcej. Na przykład nie uzgodniono jeszcze, kto ponosi koszty dostaw surowców, dostawca czy odbiorca. A koszty te poważnie wzrosły, gdy w ubiegłym roku samochód do

kostiumowa zdrożała z 200 do 270 złotych, a płaszczówki setki z 345-415 zł do 460-520 złotych.

Dział kosztów udostępnił mi kalkulację na niektóre tkaniny. I tak, kalkulacja ceny na tkaninę kostiumową kształtuje się następująco:

koszty przerobu	— 100 zł
koszty materiałowe	— 65 zł
podatek	— 45 zł
zysk	— 30 zł
marża handlowa	— 30 zł
razem	— 270 zł

Dyrektor Dąbrowski zaznacza, że w związku z nieznajomością wszystkich elementów do prawidłowego ustalenia ceny, mogą one ulec zmianom w poszczególnych asortymentach. Ponadto ceny umowne mogą kształtować się różnie w ciągu roku, w zależności od kosztów wytwarzania.

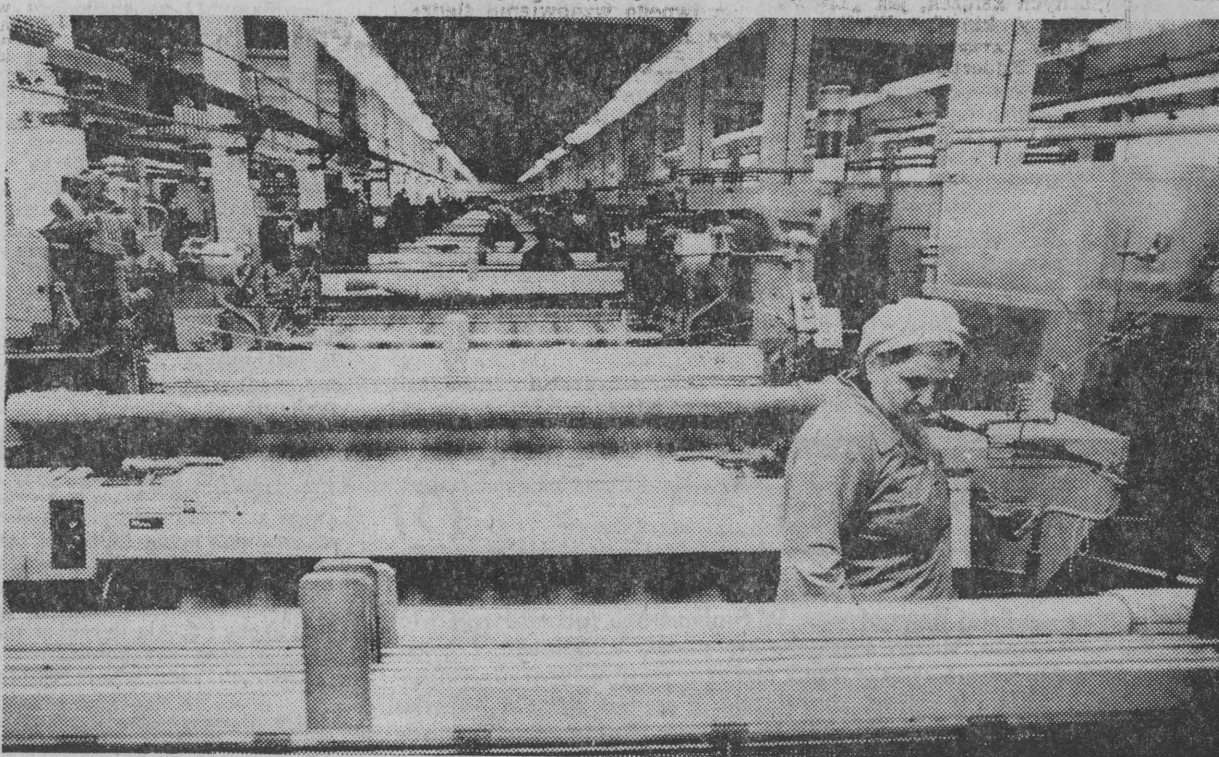
Inaczej wygląda sprawa z „czterdziestkami”, których ceny są regulowane, a na których założony jest 10-procentowy zysk. I tu — w przeciwieństwie do cen umownych — tkwi dla zakładów pewne niebezpieczeństwo. Ponieważ tkaniny z cenami regulowanymi stanowią połowę produkcji, można na nich ponieść straty w przypadku wyższych od zakładanych kosztów materiałowych.

Kiedy więc pyta pan o nasze perspektywy — mówi dyrektor Dąbrowski — to wykażę to dopiero najbliższe miesiące. Jak dotychczas trwa proces kryształowania się nowych cen dokonywanych są różne przybliżenia i kalkulacje wynikające także z sytuacji zaopatrzeniowej. Ale co w tej sytuacji jest najważniejsze, napawające optymizmem: to mianowicie, że nasza załoga, jak nigdy w swej historii skonsolidowała swe starania na rzeczywistej solidnej jakościowo i pod względem gospodarności pracy.

Te prawde potwierdza przykład Wiesława Kowalczyka i kierownika tkalnicy Owieczko, a uciążliwa widok krzątających się przy maszynach ludzi. Jak tylko zajdzie o samochód z surowcem — mówi Owieczko — wszyscy się cieszą że jest z czego robić. Ale też, proszę ponownie, jaka czyśćć panuje w tkalnicy. Jak ceni się najmniejszy kawałek tak dziś cennego surowca.

RYSZARD KLIMASZEWSKI

Zdjęcia: Zdzisław Lenkiewicz



Fragment tkalni. Wśród porządku, świadectwo gospodarności.

Gdyby cofnąć zegary (1)

Kryzys aż do rozpadu

Cofanie czasu, względnie podróże w przeszłość, zawsze dotąd były ulubionym chwytem stosowanym w ostatnich powieściach naukowo-fantastycznych. W amerykańskim scenariuszu coś takiego proponuje się Polakom: cofnięcie zegarów do czasu sprzed 13 grudnia i przyzwolecie, by sprawy potoczyły się własnym biegiem. Cóż, odbicie takiej wyprawy w wyobraźni wydaje się bardzo interesujące, nawet jeśli ograniczyć przewidywania do gospodarczych realiów: pracy i spożycia, przedsiębiorstwa i sklepu.

Cofnijmy więc umownie zegary. Mamy osiemnasty miesiąc bezustannego strajku ogarniającego raz większe, raz mniejsze obszary wytwórczości przemysłowej i rolnej. Przed trzynastym zapowiedziano przecież kilka dat protestu, łącznie ze strajkiem generalnym, czynnym, kroczącym, zastępczym, a okazał się zabraknąć nigdy. Blokują się eksport, żywności na zachód i utrudnia wszelkie eksport na wschód. Kopalnie pracują przez pięć dni w tygodniu, w sobotę wydobywają się trzecie części normalnego. Górnicy wołają o mięso, ziemniaki, masło. Chłopi nie chcą sprzedawać niczego za bezwartościowe pieniądze, a związek rolników indywidualnych „Solidarność” odrzuca z oburzeniem zapłatę w naturze, w prakach, lodówkach — żąda reformy cen, normalnego zaopatrzenia, zwłaszcza w węgiel.

Choć setki podpisanych porozumień powodują pompowanie „małego pieniądza” i rozwalanie resztek systemu monetarnego, nowe grupy zawodowe gotowe są do protestu, jeśli nie podpisze się karty np. piekarza i ciastkarza, choć coraz mniej mają i cukru, nie mówiąc o jajach. Wskutek narastającej propagandy antyradyckiej i malejącego eksportu do krajów RWPG, daje się zauważyć obawy sąsiadów co do dalszego kredytowania polskiego balaszanu, to jest dostaw większych niż nasze możliwości eksportowe. Trudno byłoby oczekiwać przecież filantropii od ZSRR i krajów socjalistycznych atakowanych przez pisma ulotne i periodyki największego związku zawodowego w Polsce. Nawet jeśli przywódcy „Solidarności” czyną to wbrew masom związkowym. Daje to w produkcji efekt wielokrotnie potężniejszy od tego, który obserwuje się dziś na rynku benzynowym; w tym przypadku założymy, że nie wyrażono by zgody tylko o dodatkowe dostawy ponad te zrealizowane już na kredyt — ponadplanowe.

Prawda, w tym scenariuszu nadal biega dostawy kukurydzy dla naszych brojlerów, nie spędza się jeszcze polskich trawlerów z łowisk na wybrzeżach amerykańskich, trwają debaty nad odroczeniem spłat rat kapitałowych. Czy ma to jednak większe znaczenie dla kraju, którego materialny byt zawsze był uzależniony, w sposób naturalny, od zaopatrzenia z sąsiedztwa kraju, który powiększa sobie inflację w tempie dwa miliardy złotych dziennie?

Gdyby... Gdyby cofnąć zegary, cofnąć dekret Rady Państwa, mielibyśmy już dziś widmo prawdziwego głodu i bliską perspektywę całkowitej katastrofy. Ścisłej: rozpadu gospodarki i państwa. Po ogłoszeniu państwowej deklaracji „Solidarności” — „O sytuacji w kraju i związku” można było jeszcze mieć jakieś nadzieje na rozsadek i instynkt samozachowawczy zjazdu tego związku. Po obradach w „Oliwii” należało już porzucić wszelką nadzieję. Choć na drugim i trzecim planie były tam głowy, których nie można pościć o kompleks kucharzy to jednak praktyczne działania wyglądały przecież na skrzyżowanie arogancji z amatorszczyzną. „Głodowe marsze” rolników na miasta, to przecież pomysły w stylu Mroźka którego koncepcji można by przeciwstawić tylko kontrochody robotników na... gminę z postulatami typu „samochód dla każdej rodziny”. Albo: „reforma” — tak, zwykła cen — nie? to znów zawołanie kogós, kto nie liczył nawet elementarnej wiedzy o prawach ekonomiki.

Utrzymanie polskiego społeczeństwa na poziomie życiowym z roku 1979 przy ówczesnym układzie cen i obecnym dochodach, przy wydajności z roku 1981 wymaga uzyskania przez Polskę darowizny, około 20 miliardów dolarów rocznie. „Nie damy przerzucić ciężaru reformy na barki społeczeństwa” — gaworzone w ówczesnych związkowych wydawnictwach. Ale kto miał ten ciężar ponieść? Kilkuosobowa ekipa, która ciężko zgryzając ekonomizną amatorszczyzną, której zresztą branie ogromnych dolarowych kredytów — wbrew przestrogom krajów RWPG — było grzechem najcięższym?

Czy może ten ciężar miał ponieść amerykański farmer, angielski górnik, francuski mieszczuch? Kto dzielnym Polakom chciał zafundować 20 miliardów złotych co roku? Była to cena zbyt wysoka nawet za zdradę sojuszników politycznych, klasowych. Zresztą była to kwota jedynie na podtrzymanie spożycia pod warunkiem, iż sąsiedzi, zwłaszcza Związek Radziecki, nadal zapewnią będą niezbędne dostawy dla naszego kraju. Wyobrażała to sobie zresztą p. Walentynowicz występując do kreów bliżej nieokreślonych o wydanie czegoś w rodzaju międzynarodowej ustawy zobowiązującej ZSRR do dostarczania Polsce ropy, rudy itp. na zawsze.

Było to okropnie naiwne, ale może i usprawiedliwione brakiem elementarnej wiedzy politycznej i ekonomicznej. Ale co może usprawiedliwić doc. St. Kurowskiego, który obiecywał wzrost dochodu narodowego o połowę w ciągu dwóch lat droga „konwersji” czyli przedstawiania głównie przemysłu obronnego na wytwarzanie artykułów domowego użytku (chyba pogrzebacz), za który to pomysł, zresztą po raz pierwszy wywołano do roku 1956, każdy student ekonomii II roku dostałby „ndst” do indeksu?

Mamy więc, gdyby cofnąć zegary, osiemnasty miesiąc kryzysu. Ponieważ suma zasobów pieniężnych ludności przekroczyła już tysiąc miliardów złotych a cen nie można zmienić zaczyna się drukować kartki na buty, baterie, nici przy akompaniamencie coraz głośniejszych protestów przeciw niesnarskościom realności. przy naukowej krytyce podważającej no celowości przydziału sześciu guzików kwartalnie, ponieważ norma wymaga dwunastu. Przysada? Proszę wrócić do wrony wędzi z początku roku 1981 w sprawie norm spożycia mięsa. Oczywiście, reforma znalazła się w całkowitym marnie. Każdy krok grozi strajkiem generalnym. Zanikła związek między miastem a wsią, krajem a zagranicą, pracą a sklepem, rozpadła się więź kooperacyjna wewnątrz przemysłu. Ale o to przecież chodziło.

ROBERT GIZA (KAR)

Gdzie szukać zboża? (1)

Przed kilkunastu laty widziałem w Czechosłowacji pierwszą „fabrykę mięsa”, czyli tzw. tuczą przemysłową. Prawdziwy gigant. Pełna mechanizacji. Wzorowa zoologia. Przy obsłudze zwierząt — kilku ludzi, tyle samo w biurze. Pierwsza refleksja — to jest to Nowoczesność i wysoka produkcja. Druga — ale skąd brać tyle zboża, koniecznego przy takim systemie żywienia? Trzecia — a koszty? Niektórzy mówili wówczas: pal je, licho, gdy chce się jeść. Czwarta refleksja — nie każdy może się świecić jest ziołem i nie każda moda jest dobra na całym świecie. Jednakże — co tu ukrywać — zaimportowała mi ferma na 40 tysięcy wleprzków. Piękny obiekt, ładnie zorganizowana praca, mięsa wystarczyło dla niemałego miasteczka.

Moda, przemóżna moda. Nas też urzekła. Uwierzyliśmy — nie lecząc się z realiami — że to i dla nas jest lekierstwo na rynkowe dolegliwości. Mięsa mogą być u nas góry — orzekli entuzjastycznie nowoczesności. Wystarczy — czarował swych czytelników publicysta „Expressu Wieczornego” — wybudować przy każdym mieście taką „fabrykę”, a wszyscy będziemy mieć pod dostatkiem schabu, poledwicy i boczu. Zaczęto więc budować fermę — giganty, a w nich stosować przemysłowy tuczą. Zwolennicy tego systemu hodowli, pytani skąd będą brać mieszanek przemysłowe odpowiadał beztrudno: trochę z krajowej produkcji, trochę z importu. Grunt by kwitł interes.

Zastanówmy się: kraj, który produkował w ostatnich latach po około 20 mln ton zboża, a potrzebował łącznie około 30 mln ton rocznie — idąc w ślad zachodniej mody — tuczą przemysłowy, czyli żywienie oparte głównie na paszach treściwych. Rośnie import. Uależniamy się coraz bardziej od dostawców zagranicznych. Bilans handlowy trze-

szczy w szwach, ale u nas mówi się beztrudno, że jak trzeba kupować, to trzeba. Kilkakrotnie rzucano hasło „Polska powinna być samowystarczalna w produkcji zbóżowej”, ale wezwania zostają na papierze, a słowa trafiają w próżnię. Zwolennicy dużych ferm zabiegają o dalsze miliony złotych na inwestycje, a następnie — o tysiące ton pasz z importu. Na początku lat siedemdziesiątych statystyka odnotowała z dumą: systematycznie zwiększa się

W sidłach mody

produkcja mięsa, spożywamy go coraz więcej, a w planie długofalowym mówi się, że wkrótce „przydają” mięsa na obywatela powinien wynosić 82-83 kilogramy. Pod tym względem mieliśmy dorównać najbogatszym krajom europejskim. Cóż, za ambitny cel.

Teraz pytamy: co się stało, że plany te okazały się fikcją? Kto buduje domki z kart, ten powinien spodziewać się właśnie takich rezultatów. Nie chodzi w tym przypadku tylko o duże, przemysłowe fermy hodowlane, oparte na zbożach i koncentraty, ale o wszystkie technologie żywienia. Moda na mieszanek treściwe dotarła szybko do wszystkich rolników. Po co trudzić się z uprawą roślin paszowych, suszyć siano, sporządzać kiszonki, troszczyć się o użytki zielone, szukać pasz odpadkowych? Najprościej kupić od państwa mieszanek przemysłową — nawet jeśli koszty produkcji są wyższe. Chce państwo mieć mięso, niech da wszystkim hodowcom pasze. Proste. Ale

skąd weźmiemy tyle zboża, a to już nie nasza sprawa.

Zastanawiające: przed czterema laty w woj. białostockim zbierano tyle samo zboża co obecnie, pogłowie zwierząt było większe, a skupowano bez trudu 85 tys. ton ziarna. Teraz skup zboża idzie jak po przysłowiu: w grudniu, a nasz rolnik, indagowany w tej sprawie odpowiada: muszę zachować je na paszę dla zwierząt, nie mam co sprzedać, albo skup ziarna, albo hodowla. Zwykle słyszymy na wsi: tuczniak do osiągnięcia wagi 130 kg potrzebuje cztery kwintale mieszanek treściwych i „one ziemniaków”. W sektorze społecznym mówią wszędzie, że jeśli trzeba kontynuować tuczą trzody

chlewniej, to państwo musi pokryć w pełni zapotrzebowanie na paszę treściwą, bo większość PPR nie stosuje w ogóle ziemniaków w jej żywieniu.

Jakże daleko odeszliśmy w naszym regionie — podobnie jak w całym kraju — od tradycyjnych metod żywienia zwierząt gospodarskich. Były one co prawda mniej efektywne, ale za to bardziej uzasadnione w naszych warunkach. Dzisiaj rolnik białostocki zużywa na kilogram przyrostu tuczniaka od 2 do 5 kg pasz treściwych, a w sektorze społecznym — od 3,5 do 7 kg. Czy stać nas na taki stem żywienia? Nie ulega wątpliwości, że nie. Gdybyśmy chcieli utrzymać tak zbożochłonne technologie, to powinna średnia wydajność: zół z hektara wynosić nie 20-25 kwintal, ale około 40. Czy ktokolwiek opiera dzisiaj hodowlę na paszach importowanych? Można myśleć ewentualnie o zakupie w zagranicznych kontrahentów 2 czy 3, może 4 milionów ton pasz, głównie komponentów wyso-

kobiakowych, ale nie 10 mln ton. Poza tym import jest zawsze drogi i niepewny. Powinniśmy liczyć tylko na uzupełnienie krajowych zasobów; bowiem nie stać nas na tworzenie bazy paszowej w oparciu głównie o import.

Tymczasem my, zapatrzeni na zachodnie wzory, zaczęliśmy forsować zbożochłonne technologie żywienia zwierząt. Owszem, są one bardziej efektywne, pozwalają uzyskać szybsze przyrosty, zwiększają rotację w chowie np. trzody chlewniej, angażują mniej siły roboczej, pracę personelu jest lżejsza, można zapewnić lepszą opiekę weterynaryjną. Wszystko to może imponować i zachęcać do naśladowstwa. Jednakże trzeba liczyć się z realiami, przede wszystkim widzieć szanse stworzenia własnej krajowej bazy paszowej. Jeśli importować, to przede wszystkim komponenty wysokobiałkowe, a więc makuchoy, mączki, śrutu o dużej zawartości białka. Każda inna koncepcja jest zbyt kosztowna, ryzykowna, wątpliwa.

Pomyślmy rozsądnie: czy można uruchamiać duże fermy drobiarskie, w których żywienie opiera się niemal wyłącznie na mieszanekach importowanych? Czy może być uzasadnione eliminowanie pasz gospodarskich i zastępowanie ich drogiemi mieszanekami treściwymi w żywieniu trzody chlewniej? Czy nasze krówki o przeciętnej wydajności muszą dostawać tyle zboża, skoro powinnymy mieć w każdym gospodarstwie dużo dobrego siana, kiszzonek, okopowych? Zastanówmy się nad tymi pytaniami, a wówczas okaże się, że pośpieszmy na najmniejszej linii oporu, żądając zwiększenia importu, by w ten sposób zrekompensować braki wynikające z zaniedbań gospodarki paszowej w wielu gospodarstwach.

PS. Drugą część artykułu zamierzamy opublikować w najbliższy poniedziałek.

MARIAN SUCHOZEBSKI

Państwo przyjmą z gwiazdą



Kolędniczy idą!

c.d. ze str. 1

— Może lewatyrog? — proponuje zachęcony zachor.

Koza ani drgnie. Dopiero zbiorowa zachęta: „Wstań, kozuchko, wstań na nogi. Muryna pieczone, pierogi” — ożywia zwierzę. Dalej, wszyscy w komplecie, wyspiewują: „A ten kurek, co na grzędzie, pieje krzyczy, że dziś będzie, a nam zagarnie i powinszowanie i kolęda będzie”. I jeszcze w progu (na skraj sceny), na odrębne: „Winszuję państwu z Bożym Narodzeniem. Szczęścia, zdrowia przeprowadzi, dać Boże za rok doczekają”.

Plac dzieci, śmiech i oklaski zlewają się w jedno z pobekiwaniem kozy i podzwonieniem dzwonków. Bo też do wiejskiego klubu na kolędowanie przyszła stara, młoda i rzeźbiąca wieś.

Pod malowaną gwiazdą betlejemską, gdzie Jezus na wieżę siana, stłoczną się dziesiątka z obracającą się gwiazdą, odziana w kocuszek wytorowane do góry wełna, w miękkie walonki. Tylko oni przyniesli z Gródka swoje prawosławne „koladki”. Zaczęli cicho, nieśmiało: „Stawa wo wysznich, jemu zaśpiewajmo...”. Po chwili już razniej popłynęły miśni od rajskich wrót, od ikon. A od progu dla „choziaina i choziaki”, którzy nie pozwalali prosić, kłębali i wódkę radosne: „Mnogie mnogie lito”.

Przed zapadnięciem zmroku wybrzmiały wszystkie kolędy, a klub opustoszał. Przysiadam się do pani HELENY SKUTNIKOWEJ na pogawędkę. Pytam, czy po Kalinówce chodzą jeszcze Herody, albo chłopcy z kora.

— Sześćdziesiąt lat temu chodzili u nas we wsi z kora — wspomina trochę jakby z żalem pani SKUTNIKOWA. — Teraz prawie nikt tego nie pamięta, chyba tylko najstarsi. Z czasem zagubili się, zatarli w pamięci teksty śpiewanych dawniej piosenek. Cztery lata minęły, zanim odtworzyłam kolejność scen w pokazywanych dzisiaj Herodach. Szkoda mi było, żeby to wszystko przepadło. Wiesz pamięta, jak moja mama — Zosia Lipska

śpiewała. Ona mnie nauczyła przyspiewek, kolęd, pastorałek, sokolików, najrozmaitszych pieśni weselnych. Inne usłyszałam od najstarszych mieszkańców Kalinówki. W ten sposób udało się mi zebrać około 300 różnych piosenek. Upominam się o „kozeńkę” z Herodów. Pani Skutnikowa nuci w mazursko-białorusko-tutejszym języku: „Kozeńka skace pieroskie pierce. Wyskoc kozieńka, przychodź roni sie. Gospodarowi daj pokłoni sie.

Daj pokłoni sie, daj gospodynie. Zeb kielbasę upiekłą i słoniny dał.” Przed odjazdem jeszcze kolacja u pani Skutnikowej. Bo jak tu się oprzeć, gdy z sercem proszą na paczki i bigos obłożony parującą palcówką... Mogę przysiąc, że gdy wracałam nocą przez topniejący śnieg, w mroku nie opodal Skutnikowej stodół, widziałam przemyskającego czorta „łazatego” i chłopców, jak szli w wieś z gwiazdą, kolędą i Herodem.

OLGA PACEWICZ



Pasterz będzie nie la-da — jaki...*



Tylko patrzeć, słuchać i wspominać.

Fot. Z Lenkiewicz

Zstępując z ostatniego stopnia schodów swego ganku ZDUŃCZYK stawia nogę na podwórku sąsiada. Ma stąd widok na ruiny swojej spalonej stodół, których połowa leży na gruncie innego rolnika. KOSŃKOWA dojąc krowy liczy przez dach obory gwiazdy na niebie, bojaźliwie zerkając na rozsypane się ściany. OSZKIN zasypia w obcej chacie, dumając nad losem pogorzelca.

Wszyscy są rolnikami z Tarnowa, wszyscy mają pretensje do urzędników, wszyscy czują się pokrzywdzeni i oszukani. Ale los każdej z tych rodzin, do których w przypadkowej wędrówce trafił reporter, jest inny.

GDY BRAKUJE JUDYMA

Na każdym domu w Tarnowie tkwi tabliczka z nazwiskiem mieszkańca. Tylko po niej i po oknach można poznać, gdzie egzystują Zduńczycy. Drzwi do „mieszkania” zastawione konwią na mleko. W oknie dziecko z twarzą pokrytą strupami. W środku trójka jego rodzeństwa z czerwonymi rękami, biega bez butów i skarpet po zgniętych miejscach zarwanej podłogi. Stegłizna. Na ścianach grzyby, łaty odpadającego tynku. Rozpadające się meble.

Za ścianą obora. W niej para krow i koni, trzy cielaki i dziesięć świń. Obok spalonych stodół reszki dwóch stogów nie młóconego żyta. Zduńczycy pokazują to wszystko z kamiennej twarzą. Żyto na siew odda, Cześć zbioru wywiozą i o-młócą, większość ratuje przed stratą zrucając snopki chudobie. Nie ma czym o-młócić — sąsiadzi wymawiają się brakiem ropy, kółko nie ma maszyn.

Drugoklasista Zenek, który wrócił właśnie ze szkoły, wybiera parowane dla świń kartofle, wprawnie obiera łupinę, a potem zagryza polaną wodą i posypaną cukrem kromką chleba. Sąsiadka Władysława Siedlecka kiwa współczująco głową na nich to już się tak los zawziął.

Ojciec Zduńczyka był wyrobnikiem u Ciemniejewskich, co to we dworze mieszkali. Z reformy ziemi otrzymał i na niej to gospodarować miał Henryk. Miał, bo po śmierci ojca matka zabudowania zostawiła córce, a ziemię zamysliwała sprzedać. Procesował się Henryk długo, w adwokatów trwał. Na koniec wygrał. Spłacił sześćdziesiąt procent i został goły jak przed ślubem, na który nawet garnitur nie miał. Włożył nie tylko w spłatę i adwokatów.

Gdy mu się mieszkanie, które w owocowym oświeścił pobudował — takie wie pan razem z chlewikiem — szałło, to odszkodowanie matka zagarnęła. Nie dość jej było komornego. Ostał bez chaty. To wtedy przegarnął go z mężem. My starzy — mówimy — nie ma kto po nas mieszkać, to bierz, Henryk, i buduj się w naszym ohejsku. I znowu na ziele obrócił.

W siedemdziesiątym szóstym naczelnik Żelazko namówił nas na przekazanie gospodarstwa. Zduńczyk złożył podanie, żeby gmina sprzedała mu naszą działkę, bo my tylko samo siedlisko w dożywocie zatrzymaliśmy. My też takie podanie wystaliśmy. Ale wiatr biednemu w oczy. Naczelnik nie jemu, a sołtysowi sprzedał. A teraz jak się stodoła spaliła i chciał ją odbudować, to się okazało, że połowa tych grunów na działce Wilimczyka leży. No, powie, pan, jak było można ziemię spod budynku sprzedawać?

Siedlecka nie żąda odpowiedzi. lat 73 przeżyła i

izbie, chociaż ubrany w płaszcz, szczerkami zębami. A dzieci się przyzwyczaiły — mówi Siedlecka — tylko często chorują.

GDY RĘKA RĘKĘ...

Obejście Kazimierzy i Władysława Kościńskich leży dwieście metrów dalej. Od frontu murowany budynek mieszkalny, na podwórku rozrzucone w nieładzie maszyny, a obraz zagrody uzupełnia stodoła i rozwalająca się obora.

Kościńkowie wita zapewnienniem: panie tu kłamać nie ma, Mieszkalni tam, gdzie teraz obora. Trzeba było dom

Czyja ręka czyja myje? Kto dostaje materiały? Czy wcześniej nie można było starać się o zezwolenie na budowę? Zamiast odpowiedzieć Kościńkowie prowadzą do obory. Podparta belkami z dźburami w dachu i ścianach. Wydaje się, że zwali ją byle gliniejszy podmuch wiatru. To wszystko — mówi Kościńkowie — tylko zmarniejący nawóz trzyma. Na wiosnę, gdy się go wywiezie, obórka się rozsyple. Ale przedtem — wskazuje leżące w kącie ścierwo warchlak — wydziera mi cały inwentarz. Więc jak? Pomocze?

OD URZĘDU DO URZĘDU

Na moje „byłem w Tarnowie” naczelnik gm. Miastkowo — Włodzimierz Rakowski natychmiast pyta: w sprawie Oszkiń. Kościńkowie czy Zduńczycy? Właściwie nie potrzeba py-

Tarnowski szkic do portretu

swoje widziały. Także to, jak Zduńczyk dziesięciu świadków w sądzie stawiał, że z własnych pieniędzy i sam ten chlewik u ojca zbudował a sąd nawet ich słuchać nie chciał. Tylko dzieci szkoda. Przecie to osiemro drobiazgu, a najmłodszy dwa lata dopiero, najstarsza — piętnastoletnia.

Ja, panie — Zduńczyk pokazuje zgrubiałe ręce — nie kradłem i kradść nie będę. Grosza nie miałem. Wszystkie na pożyczkach, na hipotece ośmiu owocowych hektarów. Teraz dziesięciu, bo hektar jakiś kupiłem. Było, że na 200 tys. się zadłużyłem. Wszystkie spłacamy. Ale teraz to w tej chatce nie ma czego remontować. Pracuję za robotnika w brygadzie konserwacji — zabijaków, tu w Tarnowie. Zona za stróża. Tam po trzy-cztery tysiące zarabiamy. Znowu pożyczkę wezmę, ale domu stawić nie mogę. Wpierw stodołę, w pierw gospodarstwo. Zwiózłem trochę dźburawki, drewno kupiłem, mam stary plan, ale budować nie pozwalają. Teraz to i pytać się już nie będę. A jak przysiądą przeszkadzać — pogonię.

Po trzydziestu minutach rozmowy w Zduńczykowej

postawili. Postawiliśmy. Teraz już drugi rok starym się postawili oborę, ale nie ma żadnych widoków. Chodziliśmy, prosiliśmy i nie. Budowlani w gminie mówią, że materiały idą tylko dla tych, co już fundamenty mają zrobione.

Wymyśle z kredensu plan, zezwolenie naczelnika na budowę budynku inwentarskiego o powierzchni 117 m kwadr. (Dlaczego taka mała? Panie, i o takiej trudno marzyć). Na zezwoleniu zastrzeżenie o braku możliwości zapewnienia materiałów budowlanych. Termin jego wydania 14 listopada 1981 r.

Mamy 11 ha gospodarstwa, trzy krowy, dwie jałowki, parę świń, pięć warchlaków, i parę koni. Powinnyśmy chować więcej, ale jak? Gdzie? Teraz możemy budować się, bo starszy syn szkołę kończy, do wakacji pomożemy postawić. Jak nie będziemy mieli materiałów, to znowu przyjdzie dwa następne lata czekać. Znikąd pomocy. U nas w gminie to jest tak, że ręka ręce myje. Tacy się budują, którzy mają już budynki. Chciałoby ten biedny wcale głowy nie podnosił.

Natomiast Oszkińkowie gmina materiały przydzielili natychmiast po październikowym pożarze. Potem okazało się, że z „jego” przydziału GS wybudowała sklep

tań, naczelnik zna sytuację wszystkich trzech rodzin od podszewki. Ale najpierw generalnie — ilość materiałów budowlanych, które otrzymuje gmina według rozdziału WZIR nie zaspokaja nawet dziesięć części potrzeb. Na przykład w IV kwartale ub. r. otrzymano zaledwie 550 sztuk cegnam. Tydzień rozpatrywano jak ta mikroskopijna ilość rozdzielić. Przy tym należy wziąć pod uwagę potrzeby pogorzelców, a trzeba było dać materiały dla 3 rolników w Rybakach, jednemu w Tarnowie i dwójce w Nowosiedlinach. Przydzielamy więc na najpilniejsze potrzeby, sami rolnicy natomiast kupują na własną rękę, najczęściej w Ostrołęce, gdzie materiały — dziwnym trafem — nabyć jest znacznie łatwiej.

Naczelnik nie rozumie pretensji Kościńkowej. Jeżeli od dwóch lat starała się o pozwolenie, to dlaczego dokumentację przedłożyła dopiero trzy miesiące temu. W tym roku w miarę spływu materiałów otrzymała je na pewno.

Natomiast Oszkińkowie gmina materiały przydzielili natychmiast po październikowym pożarze. Potem okazało się, że z „jego” przydziału GS wybudowała sklep

Gorzki smak awansu

(3)

Zaczęło się w Lublinie, potem w Gdańsku. Te fakty są już dobrze znane i nie ma sensu ich tutaj przywoływać. W Białymstoku (gdzie już zamieszkał niemały ciał Wybrzeże, strajki rozpoczynały się we Wrocławiu, Poznaniu i na Śląsku) panował ciągle spokój. Fala protestu jeszcze tutaj nie dotarła, aż w końcu, na początku września, zaczęło się. Pierwsza stanęła Fabryka Przędzów i Uchwytów „Ponar-Biał”, a także potężne Białostockie Zakłady Przemysłu Bawełnianego „Fasty”. W sierpniu Aleksander Sokół przebywał na urlopie, ale dwudziestego przerwał odpoczynek. Samozwrotnie powrócił do Huty. 2 września o godzinie 9 (w czasie przerwy śniadaniowej) zadzwonił w jego gabinecie telefon. Dzwonił kierownik zakładu szkła gospodarczego, mgr Dudzik:

— Uchwytów stanęły — zameldował.

Niedługo potem zadzwonił po raz drugi:

— Już i my stoimy — oznajmił. — Z tego co zrozumiałem solidaryzują się z Uchwytami.

Zaraz przyjeżdżam — powiedział dyrektor. Poprosił przewodniczącego Rady Zakładowej, Henryka Gity i razem wstąpił do samochodu. Robotnicy z pierwszych zmian zeszli się w pokoju śniadań. Mówiło naraz wielu ludzi, przekrzykiwali się. Tylko jeden młody robotnik, Rodziewicz siedział przy stole i próbował spisywać postulaty, ale także tracił orientację w tym powszechnym nawoływaniu, rwetesie: coraz to trząskali drzwiami, ktoś nagle wpadł, inny wybiegał z emocjami. Wreszcie przewodniczącemu i dyrektorowi udało się na chwilę zapanować nad tłumem. Zaproponowali, by strajkujący wybrali swój komitet, z którym można by przystąpić do rzeczowych rozmów. Postulowali. O godzinie 15 zaniechali produkcji i również zakład szkła oświetleniowego. Przewodniczącym komitetu strajkowego wybrano hutnika, Edwarda Talme. Aleksander Sokół stworzył dogodne warunki pracy temu komitetowi, można powiedzieć zaopiekował się nim, pomagał nawet formułować postulaty, które w liczbie pięćdziesięciu zostały przesłane władzom regionalnym i zjednoczenia; z jego podpisem. Ołbrzymią większość postulatów uważał za słuszne, solidaryzował się z załogą, strajk strajkiem, ale czuł się przecież członkiem tej społeczności, chciał więc być razem z nią, nadeł, jak zawsze. Niejednemu raz walczył o jej interesy, i wtedy kiedy się nie zgadzał z decyzjami o likwidacji hut, i wówczas kiedy rozbudowywał ją kiedy podniósł zarobki wbrew zaleceniom, kiedy walczył o realne plany, o ustawowe przewidziany czas pracy.

Jednak takie myślenie i tego typu postępowanie poczytane mu zostaje za błąd. Ale na razie nie rozpamiętujemy racji, zrelacjonujemy tylko same zdarzenia.

Postulaty załogi zostały podzielone na trzy grupy: te, które dotyczyły władz centralnych, wojewódzkich i samej dyrekcji. Wśród tych ostatnich było parę natury personalnej i one sprawiły dyrektorowi największy kłopot. W zakładzie szkła gospodarczego III zmiana zażądała odwołania ze stanowiska zastępcy dyrektora do spraw technicznych i kierownika zakładu, IV zmiana napisała, popieramy postulat trzeciej i zgłaszamy dodatkowy. W zakładzie szkła oświetleniowego wszystkie zmiany domagały się odwołania kierownika, a dział obróbki żądał także zdjęcia z funkcji swego mistrza. Gdyby inżynier Sokół wyraził na to zgodę, zyskałby aplauz załogi i przypuszczalnie sam uniknął późniejszych kłopotów. Tak się jednak nie stało. Aleksander Sokół uważał, że decyzja taka byłaby krzywdząca kierowników. Byli to dobrzy fachowcy, wywiązujący się sumiennie ze swych obowiązków. Zarzucano im lekceważący stosunek do podwładnych, zbyt ostre traktowanie poniżające godność, wulgarnie słownictwo, kapralskie egzekwowanie dyscypliny.

Dyrektor znał załogę Huty. W 1972 roku przeprowadzane tu były przez Wojewódzką Komendę MO badania ankietowe, z których jasno wynikało, że ponad 30 procent zatrudnionych posiada na swoim koncie wyroki sądowe. Niekiedy nawet po kilka. Huta bowiem była tym białostockim zakładem, który wypowiany został do przyjmowania do pracy byłych więźniów. Inne zakłady broniły się przed tym obowiązkiem społecznym skutecznie. Natomiast inżynier Sokół wyraził kiedyś na to zgodę, uważając, że nie można ludziom zamykać drogi naprawy. Zresztą wielu z nich, dzięki uzyskanej w ten sposób możliwości stabilizacji swego życia, porzuciło na stałe chybliwą drogę kolizji z prawem i stawało się pożytecznymi obywatelami. Jednak obecność tak dużej grupy ludzi ze skomplikowaną przeszłością musiała się odbić przynajmniej na

tamtejszych obyczajach. Słowa wulgarnie, niczym z rynsztoka, były chlebem powszednim w produkcyjnych halach. Przy ich pomocy zwracano się nie tylko do mężczyzn ale i kobiet. Do niedawna nikt nie przykładał do tego specjalnej wagi. Obecnie postanowiono z tym skończyć. Ale dyrektor miał świadomość, że dotychczasowe kontakty z załogą jej bezpośrednich zwierzchników nie były łatwe.

Ow pierwszy strajk trwał nieco dłużej niż dobie. Przyjechał przedstawiciel ze zjednoczenia, z Warszawy, przybyli również reprezentanci władz wojewódzkich. Huta otrzymała 3 miliony 400 tys. zł na podwyżki. Czas realizacji innych postulatów ustalono wspólnie. W sprawach personalnych Aleksander Sokół poprosił o tydzień czasu, by można było spokojnie zbadać zarzuty, a pracownicy mogli zastanowić się czy wyłącznie emocje nie poddyktowały im owych żądań, i czy nie są one

W kręgu

zbyt krzywdzące. Chodziło przecież o ludzi. Krzywdę łatwo wyrządzić, trudniej ją naprawić. Jeżeli po tygodniu okazało się, że nadal 50 procent pracowników domaga się odwołania, odwołania takie zostaną dokonane. Obrona współpracowników poczytana zostanie dyrektorowi także za błąd. Oni ocaleją, ale ich obrońca nie.

W trzy dni po zakończeniu strajku Aleksander Sokół spotkał się z III zmianą zakładu szkła gospodarczego. Stawił się z oskarżeniami: swoim zastępcą do spraw technicznych i kierownikiem. Złożyli tzw. samokrytykę, kierownik nawet przeprosił wiele osób, zastępcę wyjaśnił zawisłość niektórych decyzji. Załoga uznała to za zbieranie i przyrzeczenia za satysfakcjonujące ją, wycofała więc swój wniosek w kwestiach personalnych. W zakładzie szkła oświetleniowego sytuacja wyglądała nieco bardziej skomplikowanie. Mistrzem był tu sekretarz Oddziałowej Organizacji Partyjnej. Do niego i do kierownika uzbierało się znacznie więcej niechęci. Jednak większość zgodziła się dać im jeszcze jedną szansę, pozostawiając ich na dawnych stanowiskach, bo fachowcami byli rzeczywiście dobrzy. Mimo to 14 osób zdecydowanie uparło się przy swoim pierwotnym wniosku. W tym wypadku jedynym wyjściem nie dało się osiągnąć i w dwa dni po wspomnianych zebraniach dyrektor

w Tarnowie i wiatę nad wagą w Miastkowie. Nie wiadomo na jakiej zasadzie, jako że w myśl przepisów jednostka społeczna powinna uzyskać przydział w WZIR lub komisji planowania. Sprawę Kościńkowie stawili na naradzie z komisarzem wojskowym i prezesem nowogrodzkiego GS, pod który podlegała tujeńska filia, przyrzekli szybkie jej załatwienie.

Szybkie — Kazimierz Oszkin, właśnie wrócił z Nowogrodu i wyzwała się naczelnikowi — od listopada biegiem. Po przesłaniu przyrzeczeniu już siedem razy w GS był. Zbysław naczelnik. Sił już nie mam. Naczelnik przecież już ze trzy razy dzwonił. Miałem się zgłosić do prezesa, ten w Ciechanowcu, wlecz przesłał mnie do księgowości, a tam mówią nie ma pustoków. To ja się pytam, jak to nie ma, skoro GS nie wybrał z zakładu w Śniadowie jeszcze 1800 pustoków, a ja potrzebuję tylko 1100 sztuk. Resztę materiałów załatwiłem sam, fundamenty załatwiłem i ganiam po urządach.

Naczelnik Rakowski zapewnił rolnika, że będzie interweniował jeszcze raz. Oszkin zostaje pocieszony. Dla Reginy Zduńczyk nie ma nawet tego.

Zezwolenie na odbudowę spalonych stodół dałbym natychmiast, gdyby leżała ona w całości na działce Zduńczyków. Nie wiem na jakiej podstawie dokonano podziału działki Siedleckiej, tak jakby nie stały tam żadne budynki. Teraz są dwa wyjścia. Pobudować się na nowym... — Znowu? Zaczynamyśmy z dziesięcioma palcami i tylko tyle nam zostało. Mam osiemnoro dzieci. Nie jestem w stanie brać olbrzymich pożyczek.

To musicie dość z Wilimczykami do porozumienia. Ja z urzędu nie mam podstaw do interweniowania. Rozmawiałem z Wilimczykiem, sam nie wiedział, że na jego gruncie stoi cudza stodoła, ale zgadza się na odstąpienie części działki. Mogę porozmawiać jeszcze raz. To wszystko.

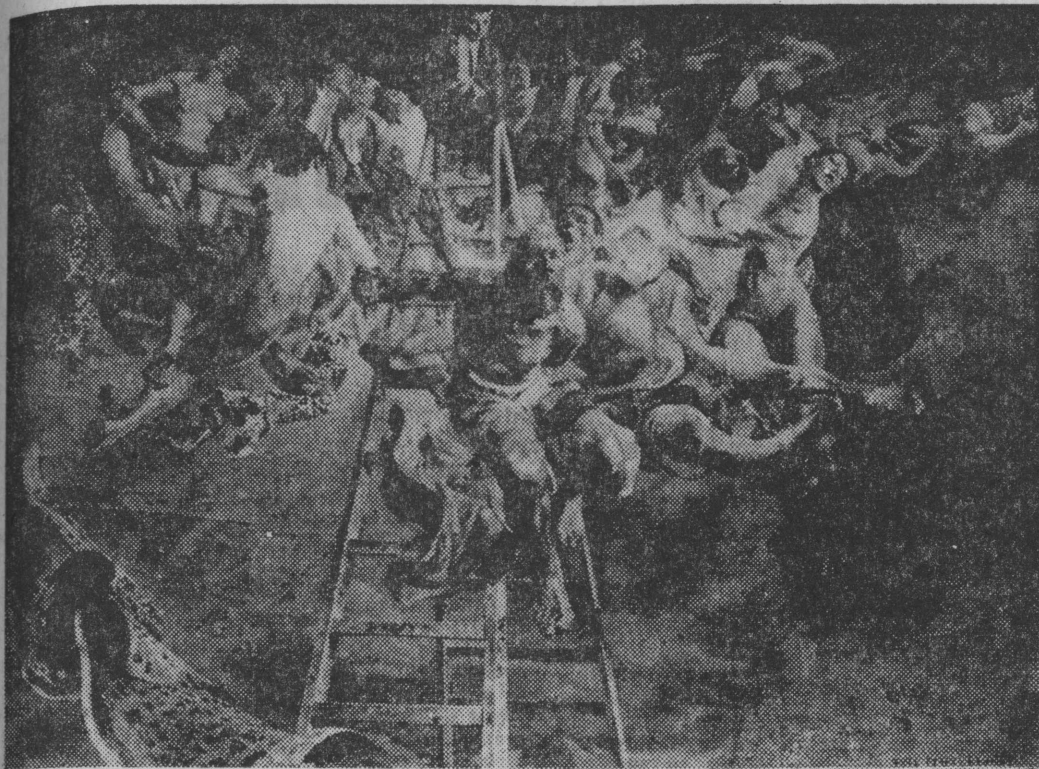
W tym tygodniu po tych rozmowach zadzwonił do Urzędu Gminy w Miastkowie. Naczelnik Rakowski poinformował, że Oszkin kupił wreszcie pustaki. Kościńkowie otrzymała przydział cementu. Zduńczykowie nadal nie dogadali się z Wilimczykiem. Zakończenie optymistycznym nazwać więc trudno. Oszkin, gdyby kupił pustaki w terminie zapłaciłby 16,5 tys. zł, teraz — 49,5 tys. zł. Bałagan w nowogrodzkiej GS opłacił z własnej kieszeni. Zduńczykowie nie dziś to jutro zapłacą za bałagan (a może nie tylko) spowodowany przez byłych naczelników Żelazko i Bielecką.

Trzy tak różne sprawy z jednej wsi stanowiąc mogą zaledwie kilka kresek szkicu do obrazu „rolnik i urzędnik”

JERZY BRODZIUK

dowiedział się, że grupa pracowników fizycznych zbiera podpisy pod żądaniem odwołania go ze stanowiska i usunięcia z Huty. Wśród inicjatorów nowej akcji rej. wozni hutnik S.C., który uprzednio miał zatarg z kierownikiem zakładu i był nieprzejednanym przeciwnikiem jego odwołania. Zatarg dotyczył nieobecności w pracy z powodu pijactwa. Hutnikowi została potrącona dniówka za nieobecność nie usprawiedliwioną, w konsekwencji czego stracił on 25 procent tzw. tryznatki. Ukaranym odwołał się do dyrektora, ale Aleksander Sokół utrzymywał w mocy decyzję kierownika. Po przedsięwzięciu rozpuszczenia no wieść, że dyrektor ukradł załozde milion złotych z sumy przeznaczanej na podwyżki plac i że z pewnością kradł także poprzednik, bo ma trzy „wille”. Itp. Itp.

Kto rozpuścił te plotki nie sposób już dalsia ustalić, nikt nie przyznaje się do ich au-



JACEK MALCZEWSKI — „Błędne koło”.

Repr. P. Sawicki — jr

Od kilku miesięcy w galerii białostockiego Biura Wystaw Artystycznych nie było ani jednej wystawy białostockiego twórcy. Od październikowego ubiegłego roku trwa bowiem, uchwalone przez Nadzwyczajne Walne Zebranie Członków Okręgu Białostockiego Związku Polskich Artystów Plastyków, „powstrzymanie się od udziału w wystawach”. Wprawdzie Związek zawieszono, ale „powstrzymanie się”, które było pierwsze niż stan wojenny — pozostało.

W Uchwale z jedenastej sesji Związku, z dnia 15 października 1980 roku napisano, że malarze, rzeźbiarze, graficy i projektanci białostocki decydują się na tak niecodzienną formę protestu, „wobec nie-zaawansowania poczyni administracji kulturalnej w celu poprawy sytuacji i niewystarczającego zainteresowania także administracji

nego wykazania traktowania Związku odpowiadało Urzędowi, ale nie twórców. Ochrona twórców srodowiska jest głównym celem Związku, jest to cel ogólnospołeczny i Związek starał się zawsze o tym pamiętać, więc musiało dojść do konfliktu.

Przejdźmy do faktów z niedawnej przeszłości. Wy-

czy tu malarzy. Zabrakło starośń o polepszenie od lat katastrofalnego stanu pracowni plastycznych, będących jednym z pierwszych i podstawowych warunków twórczości, nie było pomocy w próbach stworzenia takich warunków, w których twórcy plastyki mogliby wejść w miasto, w architekturę, czy nawet do domów

c.d. ze str. 1

dekuracje w 1692 roku własne od Jana III Sobieskiego, natomiast potwierdził je aż dwukrotnie August II (w 1699 i 1703) oraz Stanisław August (1779).

Zdaniem doc. Wasilewskiego, Białystok podobnie jak Szczecin otrzymał przywilej miejski od króla Sobieskiego. Stało się to prawdopodobnie pod koniec jego panowania, po powrocie z wiedeńskiej wiktoria, ale przypuszczalnie 300-lecie Białegostoku powinno poprzedzać taki sam jubileusz Szczecyna. Nie jest wykluczone, że Białystok stał się miastem dzięki przywilejowi Michała Korybuta Wiśniowieckiego, a nawet poprzedzającego jego panowanie Jana Kazimierza. Pewne jest, że król ten w dowód wdzięczności za rozprawę ze Szwedami podarował hetmanowi Czarnieckiemu na własność dobra tykościńskie wraz z Białymostkiem.

Czarniecki w chwilach wolnych od wojackich zajęć do załudnienia swej nowej posiadłości. Na terenie obecnego Białegostoku osiedlał chłopów, nawet zbiegów. Chciał założyć miasto. Nie wiadomo, czy zdołał uzyskać dlań przywilej królewski, gdyż zmarł w 1665 roku, zaś Białystok, jako wiano córki Aleksandry Katarzyny Czarnieckiej zaślubionej z Janem Klemensem Branicznym, na półtora wieku stał się własnością magnackiego rodu. Być może — tak sądzi m.in. Jan Glinka — w 1665 roku Jan Kazimierz obdarzył jednak Białystok prawami miejskimi.

Dziwne koleje dawnych akt

Archiwum Akt Dawnych spłonęło w Warszawie podczas ostatniej wojny. Jak twierdzi wielu badaczy znajdowały się tam księgi miejskie Białegostoku, a najstarsza pochodziła z 1668 roku. W sumie było 14 ksiąg. Waga wojen i innych kataklizmów zabrała jednak większość dokumentów związanych z Białymostkiem.

Przetrawienie przywileju ostatniego Sasa z 1749 roku

należy zawiązać szesnastemu przypadkowi... Wymieniany już Jan Glinka — rolnik spod Ostroliki, a zarazem urzędnik wojewódzki w przedwojennym Białymostku — w chwilach wolnych pasjonował się przeszłością pałacu Branicznych, w którym wtedy urzędował wojewoda i jego personel, a więc także Glinka. Tuż przed 1939 r. domostwo entuzjasta lokalnej historii wypożyczył z archiwum magistrackiego teczki z kilkoma dokumentami z czasów Branicznych; wśród nich był przywilej Augusta III. W ten

Z jeleniem w herbie?

Najwięcej materiału dostarczył brankiński księgi grodzkie, w których znajdują się wzmianki na temat Białegostoku. Doc. Wasilewski znalazł tam opis pierwszego herbu miasta. Miał to być jelen z rozpostartymi rogami, symbol blisko związany z okalającym krajobrazem, do dziś bowiem zachowały się wokół Białegostoku pozostałości dawnych puszczy pełnych ongiś dzikiego zwierza. Od herbowego jelenia wzięły nazwę dwie najstarsze karcerne białostockie:

go dokument Augusta III. Doc. Wasilewski liczy, że mimo upływu trzech stuleci i przejęcia przez Polskę, a przez Białystok w szczególności, tytułu wojen i zmian władcy — poszukiwany dokument uda się odnaleźć. Oby żmudne szperanie przyniosło odkrycie...

270 tys. talarów za... Białystok

Kłopoty z białostocką metryką miejską mogą wydać się zabawne. Jak to możliwe, że miasto duże i ludne nie wie, od kiedy liczyć swój początek.



Miasto bez metryki?

to sposób w prywatnym domu Glinki przez długie lata spoczywała metryka Białegostoku. Przetrawia wojnę, a teraz znajduje się w Wojewódzkim Archiwum Państwowym. Na podstawie tego dokumentu w latach panowania ekipy Gierka — słynnych z fetowania świąt i jubileuszy — urządzano w grodzie nad Białą kolejne rocznice. Nad faktycznym wiekiem miasta nikt wtedy nie rozprawiał.

Tak działo się do konferencji historyków jesienią 1979 roku, kiedy to doc. Wasilewski wystąpił z tezą, że Białystokianin żyją w mieście starszym niż król im wierzycie napis na malowidło. Skoro doś, wilnianin z urodzenia, warszawianin z zamieszkania, a więc człowiek wolny od lokalnej megalomanii, doszukał się w archiwach posłak świadczących o starszym niż saski, rodowodzie Białegostoku — należy z uwagą przyjąć argumenty za siedemnastowiecznym początkiem miasta.

„Pod jeleniem” i „Pod głową jelenia”. Pieczęć z wizerunkiem jelenia używano nawet wówczas, gdy była ona nieaktualna, bowiem w przywileju Augusta III zapisano, że herb Białegostoku będzie składał się z monogramu właściciela miasta — Branicznego. Nikt dotąd nie zakwestionował słuszności przypuszczenia o siedemnastowiecznym rodowodzie miasta. Zmarły niedawno dr Zbigniew Troczewski, autor przewodników po Białymostku, też twierdził, iż — studiując stare akta rodu Branicznych — natknął się na zapisy świadczące, iż Białystok był miastem na długo przed 1749 r. Również pracownicy archiwum białostockiego, choć przyznawali się do upowszechnienia daty saskiej — przyznają, iż hipoteza doc. Wasilewskiego ma wiele prawdopodobieństwa.

Szkopuł w tym, że nie ma brakującego ognia. Nie znamy przywileju poprzedzającego.

Jeśli rozproszone się księgi magistrackie, powinno coś zostać w pamięci ludzkiej? Niestety, historia polityczna i społeczna miasta nie sprzyjała temu, co dziś nazywamy patriotyzmem lokalnym. W przeciwieństwie do większości miast polskich będących własnością królewską, czyli jakby państwa — Białystok aż do 1795 roku był własnością prywatną. W praktyce znaczyło to, że samorząd miejski składał się tylko z osób dobranych przez dziedzica. Nie sprzyjało to demokracji i bujnym życiu społecznemu. Herbowe miasto przydawało splendoru dziedzicowi, lecz poddańcy magnata nie mieli powodu do radości.

Feudalny stan trwał do ostatecznego upadku Rzeczypospolitej szlacheckiej, po czym Białystok znalazł się w granicach Prus — i niestety — zabory zawiązały wykonanie pierwszego w dziejach planu miasta oraz mapy okolic, a także nasył awans na stolicę

administracji wojewódzkiej. Po 1807 roku na mapy układu w Tylicy, obwód białostocki przejął car rosyjski Aleksander I.

Transakcjami majątkowymi — pieniężnymi wziętymi się w długi — aktywa miały być wzięte z Rosji lub z liczących sukcesorów bezdziejnego Branicznego. Spadkobiercy — sprzedawcy miasta i pałac — nie przejmowali się dokumentami. Wiadomo, że wystawiano je na licytacje, wożono nad Nową i nad Niemną, a po 1821 roku rewidowano do Polski. Na lat kilkanaście trafiły do warszawskiego AGAD, lecz spłonęły wraz z innymi dokumentami polskiej tożsamości narodowej.

Brakujące przywileje miejskie Białegostoku chyba nie da się odnaleźć. Może jednak Czytelnicy dorzucą jakieś szczegóły do historii grodu nad Białą, z pewnością data przywileju Branicznego dla Białegostoku nie jest w naszych czasach sprawą najważniejszą. Jednak sądzę, że warto znać prawdziwe dzieje nie tak starego przecież miasta.

Legenda o Gedyminie — tymba między bajki włożyć, ale wobec dość licznych posłak datujących miasto Białegostoku na przełom lat osiemnastych i dziewiętnastych XVII stulecia lub, jak sądzi Glinka, na 1665 r. — blaknie podkolorowany fresk Stefana Rybego. Jednak nadal nie wiadomo, ile lat ma Białystok. Dokuczają to luka w zrekonstruowaniu naszej skomplikowanej tradycji historycznej.

HELENA PILIPIUK

Baykot

problemami środowiska, wobec zawieszonego przez administrację kulturalną zagrożenia działalności organizacyjnej ZPAP w Okręgu Białostockim”. Jest to więc konflikt na styku twórczości administracji, konflikt stary jak sama administracja, ale jego forma i przebieg są na tyle niezwykle i symptomatyczne zarazem, że w pytaniach jak się zrodził i dlaczego trwa zwróciliśmy się do bezpośrednio zainteresowanych.

Krzysztof Tur, prezes zawieszonego w działalności Zarządu Okręgu ZPAP. Dziś mogę się wypowiedzieć tylko jako jeden z białostockich artystów, ale będzie to brzmiało tak samo jak przed dwoma miesiącami. Za błąd administracji kulturalnej, a konkretnie za błąd Wydziału Kultury i Sztuki UW w Białymostku uważam próbę administracji twórczości i to takiego administrowania, które trudno nazwać działaniem w interesie lokalnego środowiska. Instytucjonalne, łatwe do statystycz-

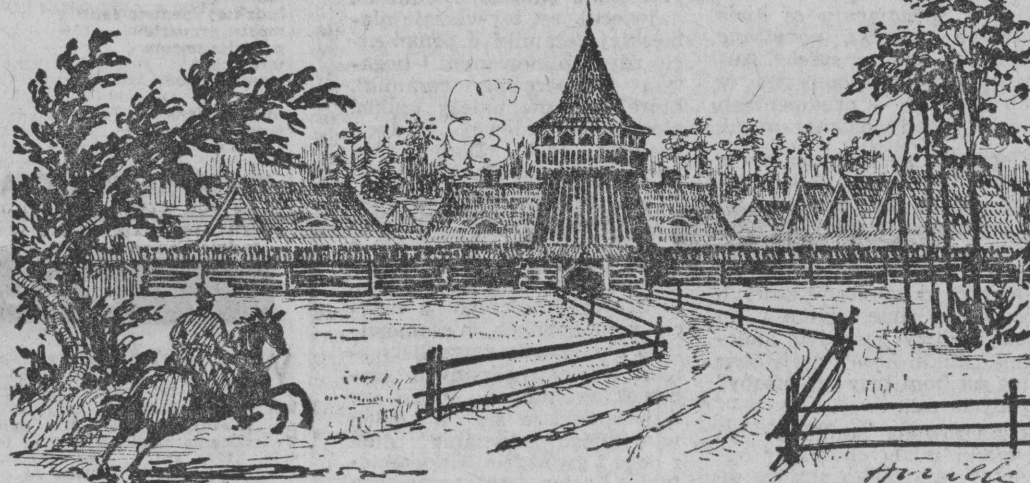
dział Kultury i Sztuki UW wydał arbitralną, z nikim nie konsultowaną, zupełnie nie przemyślaną decyzję, przeniesienia Galerii Sztuki Współczesnej z Biura Wystaw Artystycznych do Muzeum Okręgowego. Wydział, który jest przecież stary jak rozwijać i wspierać różnorodne formy życia artystycznego podjął paradoksalną próbę częściowej likwidacji międzynarodowych plenerów w Białowieży i Hajnówce, a wobec oporu środowiska, ograniczył się do obcięcia środków na ich realizację. Wydział, mieniąc się mecenasem sztuki, dążył do skasowania zakupów dzieł sztuki przez BWA i przewlekał w nieskończoność zatwierdzenie statutu tegoż Biura, a to z powodu niechęci wprowadzenia do Rady Programowej, a więc czynnik społeczny i fachowy. Nie dalo się natomiast w administracji kulturalnej zaawansować działań, które w sposób skuteczny służyłyby propagandzie sztuki i rozwojowi form jej upowszechniania, nie dalo się odczuć troski miasta o mieszkają-

poprzez wykorzystanie do robu projektantów mebli gromadzących się na plenerach w Hajnówce.

Konsekwentnym dopełnieniem tego małego pastelowego obrazu jest podjęta we wrześniu ubiegłego roku próba „przycięcia” Związku od strony finansowej. Wydział poprzez BWA zażądał od nas płacenia czynszu za wynajem lokalu na biuro, pracownię graficzną, a także za pomieszczenie, gdzie ulokowano Klub Srodowisk Twórczych, włącznie z zaopiecznieniem w wysokości 56.742 złote. Wydział jakby zapomniał o umowie z czerwca 1979 r., w której przyjęto zasadę bezpłatnej dzierżawy, zapomniał również i o tym, że Związek jako organizacja społeczna ma do dyspozycji kasę, w której są wyłącznie składki członków.

Przypominając powiedzenie Elgoyego: Sztuka zmienia swe miejsce zamieszkania, jeśli administracja nie zmieni swej polityki kulturalnej.

Ciąg dalszy na str. 6



NA RYSUNKU: tak przypuszczalnie mógł wyglądać XV-wieczny dwór Jakuba Raczkę Tabutowicza, założyciela Dojlid.

zakładu szkła oświetleniowego zebrali się 150 pracowników, w większości kobiet. Wkrótce dotrła tu następna zmiana. Razem 300 osób. Rozgorączkowanie większe niż poprzednio. Porządek zaprowadzi komitet strajkowy dopiero w godzinach późniejszych. Na razie panuje chaos. Owo milion złotych rozpalili wyobraźnię. Kobiety domagają się natychmiastowego zwrotu pieniędzy, tu i teraz, w gotówce. A jeżeli dyrektor tych pieniędzy nie ma przy sobie niech da pisemne zobowiązanie. Żadne wyjaśnienia nie trafiły do przekonania. Miałoby być podzielone 3 miliony 400 tysięcy, a są 2 miliony 400 tysięcy. Oszukano ich, okradziono. Po dwóch godzinach usłowa Aleksander Sokół wycofuje się z pokoju śniadani. Idzie do gabinetu. Nie patrzając na porę dzwono do Warszawy, zawiadamia władze wojewódzkie. Próbuje wytargować ze Zjednoczenia dodatkowy milion, by do podziału pozostało trzy miliony z kawałkiem.

plotki

Rano 12 września zjawiają się w Hucie przedstawiciele władz wojewódzkich i miejskich: wicewojewoda Leopold Rybakiewicz i sekretarz Komitetu Miejskiego Partii, Tadeusz Wnorowski. Komitet strajkowy stawia jako warunek rozpoczęcia rokowań odwołanie dyrektora. Nie zgadza się również, by zabrał głos w obecności załogi. „Jak mu się da mówić — motywują — to już się wyłumaczą, jak poprzednio. Odwołanie i koniec”. Załoga biera się teraz w obronę świetlicy. Ujawnia wieść o nowych zarządach pod adresem dyrektora: nieumiejętność współpracy z ludźmi, zaniedbanie dwóch ważnych dla zdrowia założeń: przedsięwzięcie, co jest dowodem lekceważenia pracowników, braku troski o ich elementarne potrzeby i bezpieczeństwo pracy. Dotyczyło to neutralizacji oparów związków fluoru unoszących się nad wannami elektrolizacyjnymi i oczyszczania hal fabrycznych. Sformułowane też motywacje o charakterze irracjonalnym. Wiele osób mówiło po prostu:

— Nienawidzimy tego człowieka, i nie chcemy, by był na Hucie.

— Sokół próbował wyjść do ludzi — stwierdza później wicewojewoda Rybakiewicz — ale nie chcieli go słuchać. Nawet dobrych rzeczy. Wicewojewoda przebywał w tym zakładzie, niemal bez przerwy, przez 98 godzin, i w

niczącym Komitetu Strajkowego, ob. Feliks Mocarskim.

Od dnia 12 września 1980 r. godz. 7.00 na czas trwania strajku dyrektor Aleksander Sokół przekazuje zakłady Huty Szkła „Białystok” przewodniczącemu Komitetu Strajkowego ob. Feliksowi Mocarskiemu, zobowiązując jednocześnie do zabezpieczenia mienia zakładu, ładu, porządku i dyscypliny przestrzegania obowiązujących przepisów w szczególności uwzględnieniem przepisów bhp i p.poz.

— Chcemy sami decydować za siebie, a nie żeby strajkiem zarządzał dyrektor.

Inżynier Sokół zasiadł w pustym gabinecie. Od świetlicy, gdzie toczyło się bujne, strajkowe życie oddzielał go korytarz, sala konferencyjna i schody. Czasami zairzał ktoś z kierownictwa, bądź pracowników administracji. Nikt z nich, mimo namów, nie podpisał listy domagającej się zwolnienia go. I nikt z nich dotychczas nie uznał takiej akcji za służną. A przecież zdawał sobie sprawę z tego, stwierdzając to dzisiaj jedynomyślnie, że z ciagu swego wieloletniego urzędowania dyrektor darzył troską przede wszystkim pracowników produkcyjnych, zwłaszcza hutników. Pracowników biurowych mniej. Pamiętał dobrze, wielokrotnie powtarzane przez niego na naradach, zdanie: „Wy nie macie racji bytu, jeśli produkcja nie będzie szła, będziecie niepotrzebni”.

To wyróżnienie pracowników produkcji było ich zdaniem widoczne na każdym kroku: przy rozdziale mieszkań, czasów (do Wólki jeździł przede wszystkim robotnicy), rozdziale nagród. Hotel był również tylko dla nich: Dla przykładu: w latach 1979/80 przydzielono pracownikom Huty 43 mieszkania, z których aż 38 otrzymali robotnicy. Regulamin rozdziału nagród eksportowych przewidywał, iż 80 procent pieniędzy z tego funduszu będzie wypłacane robotnikom, a 20 procent pracownikom umysłowym. Dyrektor Sokół zmienił te proporcje. Fizycznym pracownikom wypłacano 88 procent, umysłowym tylko 15. Wybuch niechęci do dyrektora wśród uprzywilejowanej przez niego grupy zaskoczył pracowników umysłowych i dla nich niezrozumiałym pozostał do dzisiaj fakt.

Wojewodzie Leopoldowi Rybakiewiczowi doręczono listę z podpisami. Ale dwa dni później pojawiła się w Hucie druga lista, przeciwstawna pierwszej. Tym razem zbierał podpisy pod wnioskiem, by dyrektor nadal sprawował swą funkcję. Podobno podpisał ją również 600 osób. A więc, biorąc pod uwagę stan liczebny załogi (1060), ci sami ludzie złożyli podpisy pod dwoma sprzecznymi ze sobą postulatami. Nie bardzo zdawali sobie uprzednio sprawę z tego co podpisywali? A może zmienili zdanie?

— Czy ta druga lista dotarła do pana? Leopold Rybakiewicz zaprzecza.

— Słyszałem, że taka była, ale jej nie otrzymałem. Zresztą nie mógłbym jej wziąć pod uwagę, tak jak i nie wziąłem pierwszej. Dostałem po prostu kartki z autografami, a na osobnej kartce wniosek. Mogła to być fabryczna lista na mleko, albo jakaś inna. Nie znalazłem okoliczności w jakich zbierano podpisy. Dla mnie ważne było to, co mówiono w świetlicy, na zebraniu strajkujących, a ci chcieli Sokoła odwołać i to bezapelacyjnie.

Niestety, nie udało mi się odnaleźć tej listy. Wiele ludzi ją widziało, pytalem ich, ale co się z nią stało, nikt nie potrafił odpowiedzieć.

15 września odbyło się spotkanie przedstawicieli władz wojewódzkich i Zjednoczenia Przemysłu Szkła i Ceramiki w Warszawie z komitetem strajkowym oraz częścią załogi (w Hucie stacjonowała przez cały czas jedna zmiana, w nocy również). Przede wszystkim poinformowano strajkujących, o wysygnowaniu dodatkowego miliona na podwyżki, tak by poza zwrotem długu pozostało do podziału owe przysługujące pierwotnie 3 mln 400 tys. zł. Potem dyrektor kadr Zjednoczenia, mgr Kurowski wygłosił, pod nieobecność dyrektora, mowę oburzenia.

— Wiele — mówił, spoglądając na zegarek — to jest dobry chłop, zasłużony dla Huty, my go bardzo cenimy... itd.

— Cóż to była za obrona — skwituje ten fakt w wiele dni później wicewojewoda Ry-

bakiewicz — jeszcze tylko rozstrzygnij. To, że Zjednoczenie Sokoła ceni, to załoga wiedziała i temu właśnie chciała zaprzeczyć. Same ogólniki. Poza tym byli bardzo krótko, godzinę, najwyżej półtorej. W takiej sytuacji! Najwyraźniej spieszyło im się do Warszawy. Tak jak by to nie był ich zakład. Zresztą bardzo wiele zjednoczeń ujawniło wówczas swój bezwład i małą przydatność.

Popelnili niewybaczalny błąd. W pewnym momencie, gdy zorientowali się, że ich argumentacja, wyjęta jakby z okolicznościowego referatu, ów zbiurokratyzowany, odhumanizowany język, nie dociera do świadomości strajkujących wystąpił z groźbą, wyciągając ją z lamusa. Jeżeli tak, Zjednoczenie będzie musiało zastanowić się nad wstrzymaniem w Hucie produkcji. Musimy ją ograniczyć w kraju ze względu na kłopoty z energią, transportem, częścią surowców. Replika załogi była natychmiastowa i nad Huta rzeczywiście zawiła groźba, Zjednoczenie nie musi wstrzymywać produkcji — odpowiedziano — zaraz sami pojedziemy piec wygasić.

Przedstawiciele Zjednoczenia wyjechali. Ze strajkującymi i ich wzburzeniem pozostali wojewoda i sekretarz Wnorowski. Na szczęście do wygaszenia pieców, równocześnie ze śmiercią kliniczną Huty, nie doszło.

Około północy Aleksander Sokół opuścił swój gabinet i powrócił na chwilę do domu, by nieco odetchnąć. Godzina była późna, mimo to zastał go czuwający.

— Dlaczego nie śpisz? — zapytał.

— Mnie się żyć nie chce — powiedziała — nie wiem co się z tobą dzieje, ale wiem, że coś złego.

— Nieraz mieliśmy kłopoty i jakoś przeżyliśmy, może i teraz. Przecież jest sprawiedliwość.

Zona przyniosła kolację. Jedli w ciszy. Następnego dnia spotkał na korytarzu jednego z członków komitetu strajkowego, hutnika H.S.

— Porozmawiaj ze mną chwilę — zaproponował.

Tamten przystanął.

— No, jak tak można — mówił dalej dyrektor — razem z wami rosem, budowalem, każdemu z was i tobie też dawalem szansę poprawy gdy się potkałeś, a wiesz dobrze, że tak było nieraz i nie rezygnowalem z ciebie ani innych, a wy teraz rzucacie na mnie oszczerstwa, chcecie mnie osądzić i nawet nie pozwalacie zabrać głosu?

H.S. zmieszkał się.

— Cóż ja — odrnął — ja sam nic nie znam, tu cały komitet, wszyscy ludzie... — nie dokończył i odszedł.

(ciąg dalszy w środe)

DIONIZY SIDORSKI

Listy te budzą refleksję, że ludzie w zabytkach odnajdują zagubione wśród codziennych kłopotów i cywilizacyjnej szarżownicy poczucie piękna. Wielu też chce po prostu poznać „rodowód” swej miejscowości i znajdujących się tam dawnych budowli.

Spróbujcie więc zadośćuczynić prośbie m.in. pana Cezarego Domanyńskiego z Dojlid oraz innych Czytelników, których interesują najdawniejsze dzieje tej dzielnicy i znajdującego się tam zabytkowego pałacu.

Istotnie Dojlidy mają własny, aczkolwiek powiązany z historią Białegostoku życiorys sięgający XV w., gdy tereny te należały do wielkosiennych Paszczy Bielskiej. Osady i dwory rozrzucone w tej puszczy podlegały namiestnikom starych ruskich grodów w Bielsku i Surażu.

Pod koniec wieku XV — jak dotychczas się historycy z dokumentów spisanych w 1537 r. — wieś Starostełce i Horodnany (dzisiejsze Nowe Miasto) wraz z obrębami — kawałkami gruntów otrzymał JAKUB RACZKO TABUTOWICZ herbu Łabędź z nadania wielkiego księcia litewskiego Zygmunta Kiejstutowicza. Jakub Raczek pochodził z możnego litewskiego rodu osiadłego w powiecie lidzkim. Z tych też okolic, gdzie leżały jego rodowe majątki sprowadził do swoich nowych posiadłości litewskich osadników, którzy przywieźli ze sobą litewską nazwę nowo założonego dworu i osady — Dojlidy.

Taką bowiem nazwę noszą stare litewskie wieś nad Wierską w okolicach Lidy. Tabutowicz sprowadził też zapewne potomków dawnych Jacełwów, którzy swej wsi należącej do dojlidzkiego dworu nadali własną, jacełwską nazwę — Dojnowo.

Jakub Raczek Tabutowicz, zmarł około r. 1450, a majątek prawdopodobnie podzielił między swych synów: Jundzią i Michnę. Ale z całą pewnością wiadomo, że w początkach XVI w. dwaj unukowie owego Jakuba

Przyłączenie dojlidzkiego majątku do zabudowskich dóbr Chodkiewiczów spowodowało zmianę granicy między województwami trockim a podlaskim, do którego należał położony opodal Dojlid dwór — Białystok. Granica ta, przebiegająca mniej więcej w okolicach obecnego rozgraniczenia dzielnicy Dojlid od śródmieścia Białegostoku, po Unii Lubelskiej w 1569 r. nabrała ważnego znaczenia — oddzielała Koronę od Litwy.

Po Chodkiewiczach w drodze rodzinnych koligacji w pocz. XVII w. Dojlidy odziedziczył Jan Piotr Sapieha, kasztelan kijowski, po którego śmierci majątek ten otrzymał jego synowie. Ci z kolei, aby uniknąć między sobą wadliwej pierwszeństwa do spadku, Dojlidy sprzedali swojemu ojczystemu. Niebawem jednak posiadłość ta włączona została do dóbr zabudowskich — zarządzanych przez Krzysztofa Radziwiłła, hetmana polnego litewskiego. Od tego czasu aż do końca XIX wieku ten wielki folwark pozostawał w granicach ziemskiego klucza zabudowskiego i pod zarządem jego kolejnych właścicieli.

Natomiast leżący w bezpośrednim sąsiedztwie bliźniaczym nieduży dwór Białystok, powstały w wyniku podziału na dwie części posiadłości Raczek Tabutowicz, mił chybę lepszych gospodarzy i więcej szczęścia, wyrastając z czasem na wielkie miasto zaś konkurencyjne dawniej Dojlidy stały się tylko jego przedmieściem.

(Za tydzień zapraszam zainteresowanych Czytelników do poznania dziejów pałacu w Dojlidach.)

Tekst i rysunek: HENRYK WILK

Jeśli dziś czwartek to jesteście w... „Famie”

Zwartków, które szczególnie tkwią w mej pamięci, wymienię choćby prozono, jako przejaw owocnego mecenatu królewskiego nad kulturą i sztuką, nieproszono — jako stały tytuł ciekawy, cotygodniowych felietonów zamieszczanych ongiś na tych łamach i oczywiście targowe, zaliczane u nas do handlowej tradycji.

Teraz kroją się o czwartki i w wyjątkowo, jako takim na serio potraktowany program działalności kulturalnej. Zedytowane do sedna sprawy wyjątkowo, iż na plan ogłoszony był nie tak znów dawno w chwili finalizowania sprawy nowego kierownictwa Wojewódzkiego Domu Kultury w Białymstoku. Nowy dyrektor, a były wicedyrektor — KAZIMIERZ DERKOWSKI, przejmując ster „rządu” w swoje ręce postanowił, że jego placówka będzie oddać rzeczywistym partnerom terenu. Rzecz wydawała się naturalna, wynikająca ze statutowych zadań, a przecież po latach w tym względzie chudych — warta odnotowania.

Odbił się o pierwszy „wyjątkowy czwartek” w... kawiarni „Fama”. Przy obserwacji stół zasiadli ci wszyscy, którzy zdołali przy-

być na to spotkanie ze wszystkich zakątków województwa. W tym miejscu organizatorzy mogą odeprzeć wszelkie ataki, że mimo wszystko był to „czwartek w wyjątkowo”. A więc dobrze: był!

Już dawno nie widziało się tylu działaczy kultury naraz, rozprawiających o najważniejszych problemach swego fachu. Występując dyrektorskiego credo można było tylko z pozoru odnieść wrażenie, iż mówi się tu o sprawach starych, od lat aż nadto znanych. Bo przecież do nich zaliczyć należy zarówno problem bazy materialnej i socjalnej, a także sytuację kadrową.

Jednakże to rzekomo stare sprawy i nie rozwiązywane problemy zabrzmią teraz inaczej, po prostu zaistniały w nowym wymiarze. Czy sprawiła to wspierająca gorąca dyskusja, która nie ominieła przecież środowiska wspomnianych działaczy, przynajmniej w rezultacie zmiany jakościowe w myśleniu o kulturze?

Diagnoza potrzeb, która wystała z krępowanych środowiskowych badań, zawiera co najmniej jedno powszechnie uznane stwierdzenie, że w kulturze nie może być fałszu ani pół-

prawdy. Trafnieść tego sformułowania potwierdziły głosy dyskusyjantów. Potwierdziła także Elżbieta Ceglarska z Sokółki, która nie omieszkała skrytykować idei zapropionowanego w tym dniu „wyjątkowego czwartku” przy „biednym” stole. Oczekiwano bowiem, iż ta forma spotkań będzie dla wszystkich lekcją poglądową oraz okazją do zdobywania i wymiany doświadczeń. A więc nie uroczyście pokazówka, a przyjęcie się autentycznego działania, niezależnie jak gorzka prawda miałaby się okazać.

Myślę, że przyszłe spotkania, których zaplanowano na ten rok jeszcze siedem w różnych miejscowościach województwa, okażą się bardziej przemysłowe. Tak czy inaczej muszą to być czwartki robocze, dające ich uczestnikom pełną zawodową satysfakcję.

WDK, określając możliwości w tym względzie, nie taji fakty, iż dbać będzie o to, by wypełniać swoje statutowe obowiązki wobec placówek terenowych. Czwartkowe spotkania mają zapewnić bieżący kontakt w sprawach merytorycznych, organizacyjnych, finansowych, a także w wypadkach ze skarg i wniosków. Marzeniem jest,

aby poprzez te kontakty udało się wypracować taki system, który umożliwiłby zatańczenie wszystkich spraw na miejscu, bez konieczności pisanie odpowiednich dokumentów, korespondencji itp. Myśl to przednia, przyrzeka my obserwować jej realizację.

Pewnymi niedomowieniami zakończyła się natomiast dyskusja na temat partnerstwa, a nie nakazowego działania na gruncie Wojewódzkiego i Miejskiego Domów Kultury. Chodziło głównie o patronat kulturalny nad podmiejskimi gminami (Supraśl, Chorzele, Wasilków). Kto ma go sprawować: czy WDK, którego instruktorzy z racji obowiązków służbowych pełnią funkcję specjalistów i organizatorów działalności w określonych gminach, czy MDK, który nie dysponuje odpowiednią kadrami ani innymi możliwościami? Problem ten ma być rozstrzygnięty o sześć tygodni wyżej (wchodzi tu także sprawa instruktorów opieki nad placówkami w mieście), w związku z czym można mieć nadzieję, że wszelkie regulacje nie przyniosą uszczerbku wspomnianym placówkom.

Robocze notatki z roboczego spotkania nie byłyby pełne, gdyby nie potwierdziła jeszcze dwóch faktów: występów młodzieżowego zespołu MDK „Gabiola Band” oraz naszych reprezentacyjnych „Kurpi Zielonych”. Miała to być oferta dla szefów terenowych placówek do ewentualnego wykorzystania na własnym gruncie. Jak te oferty wykorzystają — to już sprawa indywidualna.

LUDMILA CHALECKA-POŁOCKA

POEZJA

Mój Broniewski

Jesienią 1977 roku z okazji 80 rocznicy urodzin Władysława Broniewskiego (ur. 17.XII.1897) redakcja „Walki Młodych” zaprezentowała na swoich łamach wypowiedzi poetyckie młodej generacji twórczej, nawiązujące do klimatu jego poezji, jej watów, języka i nieprzemijalności, ukazujące żywą treść korespondencji z dniem dzisiejszym. W efekcie powstał tomik poetycki pt. „Mój Broniewski”, który ukazał się nakładem Młodzieżowej Agencji Wydawniczej w 1979 roku. Poniżej zamieszczamy fragmenty wiersza Krystyny Koneckiej pt. „Testament”, pochodzącego z tego zbioru.

Testament

Isię Pod burzę płonęcej epoki zmartwychwstając — co stroje — na nowo pierwszą salwę dziesiąte wieki a w odwodzie — okrutne słowa... potem uprost rok wielki płac historii rum usłoki jak dymy nad miastem i akwedukt ramię w ramię w nader i miasteczku lok wojennej marli. trzeba umieć zachęcając się brzożę Kłosem przeciśniętą gniotło i okardach z bauletem przeszedł do księżyc chłoch w sercu kana piesz i troska... hej plechurze mazowiecki dębie z ambasady republiki marzeń słowa wierzcie i gołębim hejnał stery przypada do tużury. tole ten pokon pożarom mordercom ludzkiej sprawie żeby mosty przysłać przedzworom torzezie ziemie objąć to testament upiśać sobie i siłę.

KRYSTYNA KONECKA

W 20 rocznicę śmierci Władysława Broniewskiego

Cztery dni pod urokiem jego poezji

Napisałam wtedy: „Przez cztery dni Białostoczyna żyła pod urokiem jego poezji”. Napisałam szczerze: takie były te dni dla mnie, a także dla wielu ludzi, którym udało się dostać na spotkanie autorskie, kupić tom jego wierszy i zdobyć autograf. Sam Broniewski powiedział po prostu: „Odniosłem wrażenie, że moje wiersze są tak samo znane na Białostocczyźnie, jak w całej Polsce”.

Od niedzieli, 3 kwietnia 1960 roku, przebywał Władysław Broniewski w województwie białostockim. Trasa wiodła od Augustowa, przez Różanostok i Białystok, do Hajnówki. Były to pracowite dla poety dni: organizatorzy chcieli skorzystać z okazji i umożliwić jak największe rzeszy miłośników poezji spotkanie z człowiekiem, który ją tworzył. Udało się im zmieścić w ciągu tych czterech dni jedenaście spotkań z mieszkańcami miast, poza tym z uczniami, studentami, załogą kombinatu „Fasty” i pracownikami spółdzielczości.

Otwarte spotkanie autorskie Władysława Broniewskiego dla białostoczan odbywało się w wypełnionej po brzegi czytelni Klubu MPiK. Nie było to moje pierwsze bezpośrednie spotkanie z poetą. Słuchałam już, jak recytuje swoje utwory, powtarzałam w myślach te dobrze mi znane, chętniełam nowe. Dzięki pomysłom z liceum, zakochanej w romantyzmie, a traktującej Broniewskiego jako spadkobiercę romantycznej tradycji, rozumiałam tę poezję i potrafiłam wyrecytować na pamięć tydzień stron ze Słowackiego co i autora „Mazowsza”.

No tak, ale poprzednio najwyżej najemniej uczestniczyłam wraz z paroma setkami młodych ludzi w autorskim spotkaniu, a tym razem polecono mi w redakcji „obsłużyć imprezę” i zrobić wywiad z Broniewskim! Byłam wówczas początkującą dziennikarką i zadanie to oceniałam jako najodpowiedzialniejsze z powierzonych mi dotychczas. Nie ma też co udawać, że nie miałam solidnej tremy: ja i wywiad z tak wielkim człowiekiem!

Był bezpośredni, nie dzielił gazet na bardziej i mniej ważne. O magnetofonie moim wówczas tylko marzyłam, pisało się jeszcze ołówkiem. Wywiad ukazał się za dwa dni. Przytoczę jego fragmenty:

— W Białymstoku jestem nie pierwszy raz. Zetknąłem się z tym miastem już w 1920 roku. W 18 lat później zaczęła się tutaj moja wielka miłość do żony. W roku 1939 miałem w Białymstoku pierwszy wieczór autorski.

— Jak wypadły więc porównania? — Białystok ledwie poznałem. Jest tak miły, odbudowany i rozbudowany, tak świeży — nie ustydzić się bardzo miło być mi znów spotkać się z tym miastem. Znam oprócz tego Białowieżę, gdzie spędzałem kilkutgodniowy urlop.

Co może budzić niejakie zdziwienie. Na marginesie warto dodać, że Muzeum Okręgowe miało też okazję przyjąć w darze właśnie z BWA obraz, który lat temu kilka przekazało z Muzeum w depozyt BWA; zostały one bowiem wpisane jako „nawdymy do kwinty” w „Kartoteka”. No cóż, można i tak powiększać zbiory... Przy okazji kilka słów o Gałerii Sztuki Współczesnej. Moment jej otwarcia pod egidą Muzealną istotnie odsuwa się w bliżej nie określone przyszłość, ale

Ciąg dalszy „cudu”

no sądzić, nie został dotrzymany, albo też BWA nie zechciało się z nim tymi informacjami podzielić. W odniesieniu do tych obiektów, co do których uzyskana została informacja, że nie zostały przekazane do BWA, należy stwierdzić, że BWA zostało zobowiązane do pozyskania obiektów, które autor zaprezentował w wadliwej sobie świadomości, że w terminie do 31.VIII. roku ubiegłego. Termin ten, jak nam wol-

no sądzić, nie został dotrzymany, albo też BWA nie zechciało się z nim tymi informacjami podzielić. W odniesieniu do tych obiektów, co do których uzyskana została informacja, że nie zostały przekazane do BWA, należy stwierdzić, że BWA zostało zobowiązane do pozyskania obiektów, które autor zaprezentował w wadliwej sobie świadomości, że w terminie do 31.VIII. roku ubiegłego. Termin ten, jak nam wol-

przyczynę tego są nader prozaiczne. Otóż spośród 127 przekazanych przez BWA dzieł tylko trzydzieści kilka znajduje się w dobrym stanie. Tak się bowiem składa, że BWA — odmiennie niż Muzeum — zadowala się nie zwracać na te kwestie uwagi. Skutkiem tego są takie, że gros eksponatów kwalifikuje się do konserwacji, a przynajmniej do gruntownego oczyszczenia z warstw kurzu. Przy tym przesłane na siedzibę Gałerii pawilonu przy ul. Dąbrowskiego nie spełniają najelementarniejszych wymogów ekspozycyjnych, o czym świadczą na dobitnie przeprowadzone wyrywki pomiaru temperatury i wilgotności oraz ekspertyzy rzeczoznawców. Wystawianie dzieł w tych warunkach równa się świadomemu skazaniu ich na dalsze niszczenie, a na to żaden muzealnik nie pozwoli. Ale to już zupełnie odrębny problem.

AUTOR

PLASTYKA

Magiczny dzban z Pamiru

Tym razem, po otwarciu Muzeum Okręgowego w Suwałkach, okazało się, że jego wnętrza bardziej przypomina Muzeum Azji i Pacyfiki, niż dobrze znane, swojskie już — choć nierzadko egzotyczne w temacie — pełnię Alfreda Wierusa-Kowalskiego. Wystawa, jako Muzeum wzniosło działalność po blisko dwumiesięcznej przerwie, jest bowiem ekspozycja fotograficznych notatek z podróży ANDRZEJA STRUMILLY po Mongolii i Nepalu, a także, czy raczej przede wszystkim — zupełnie niezwykłym pokazem prywatnej kolekcji azjatyckiej ceramiki. Trudno się w tym miejscu oprzeć refleksji, że Strumilla, który w Suwałkach już wcześniej dał się poznać jako malarz, grafik i fotograf, jako organizator pleneru o międzynarodowym obszarze — „Sztuka i środowisko”, a także jako komisarz muzei i z rozmachem zamierzony wystawę poświęconą myślistwu, jego historii, trofeum oraz sztuce na ten temat, aktualnie prezentuje się Suwałczanom jako niebanalny i wytrwały kolekcjoner.

Część fotograficzna wystawy, to fotoreport z gatunku krajoznawczego. Oglądamy więc pejzaże, architekturę i ludzi. Oprócz autora, malarza i poety widzę zbliża się do innej sztuki, or byczajów, ogląda kraj gór Altaj i pustyni Gobi, poznaje kłopoty i radości hodowców kóz i wielbłądów, a także wspaniałych jeźdźców, potomków Dżigis-Chana. Z fotografii robionych przecież tylko małoobrazkowym aparatem, ale zobaczonym wrażliwym okiem, wygląda słońce Nepalu nad łakami w himalajskich przełęczach.

O kolekcji, sam zbieracz mówi, że nie daje ona pełnego obrazu ludowej ceramiki Radzieckiej Azji Środkowej, że zbiór tych przedmiotów powstał wedle porządku upodobań, a nie z potrzeby systematycznego i metodycznego poznania tej sztuki — stąd też pewne dysproporcje i widoczne na wystawie preferencje określonych tendencji, stylów i autorów. Z poznawczego punktu

widzenia jest to zapewne wada, ale dzięki niej wystawa posiada coś co trzeba by nazywać osobowością, a jest to niewątpliwie część przebogatej osobowości kolekcjonera. Tak czy owak zbiór, który jest przecież zbiorem prywatnym i z Azji przyjechał w walizkach Strumilly, nawet w ocenie wytrawnych zbieraczy jest czymś zupełnie niezwykłym.

O sztuce ceramicznej krajów Azji Środkowej wiadomo, że od czasów najdawniejszych uprawiała ją przede wszystkim ludność osiadła w przeciwieństwie do stepowych koczowniców. Stąd też garnce i naczynia rozwinięły się w Tadżykistanie oraz w części Turkmenii przylegającej do oazy chorozijskiej. Ceramika te dzieli się na lepiącą w rękach, starszą i bardziej prymitywną oraz wyrabianą już przy użyciu koła garncarskiego. Ta pierwsza powstała w odciętej od reszty świata krainie o surowym klimacie i urodziwych dziewiczach, w górach wielkiego Pamiru.

Właśnie te urodziwe kobiety teplej tutaj i dążyć do zbliżenia do polskiej na wschodnie słodycze. Naczynia takie tworzone, łącząc kolejne walce z gliny wyglądają specjalnym kanykiem, pokrywano gęstym i fantastycznym ornamentem, po czym wypa-

lano bez użycia pieców, na ognisku z kłuzką. Trzeba przy tym pamiętać, że do garzania, a już bron Boże do ich wypalania, nie dopuszczano mężczyzn, którzy owszem herbatę pili, słodkości jadli, na tym kończyli się ich kontakty z naczyniami.

Lepienie garnków było sztuką tak dalece sfermizowaną, że jak pisał badacz przedmiotu GRIGORI DERWIZ, „dzbany do mleka mają jeszcze dziś nazwy rodzaju żeńskiego, jak również antropomorficzne dekoracje o cechach żeńskich. Na przykład na kształku Eid najbardziej rozpoznawalnym motywem nalepionym ornamentu są dwie małe kciuki, nazywane beszek, co oznacza sutek”. Autor tych uwal skłony jest w tych znakach — ornamentach widzieć ślady dawnej magii.

Ceramikę na kole robiono w Azji w żywnych nasłonecznionych oazach. Tu garncarzami są wyłącznie mężczyźni. Oni wyrabiają „lagany”, czyli głębokie talerze na pilaw, „kosy” — czarki na mółce, w których podaje się zupę, „piole” do picia herbaty, jaskrawo malowane „duki-kosa”, czyli duże misy na konfitury i „oftoby” do mycia rąk.

Glazurowana odmianna tej ceramiki miała charakter odświętny, nierzadko służyła do ozdoby wnętrza, czasem jako talizman. Zdobienie tych naczyń i przedmiotów wiąże się

z przedmuzułmańską symboliką religijną. Derwiz pisze: „Bielutny kolor uchodził na Wschodzie za symbol szczęścia. Jest to kolor wody, a woda w Azji Środkowej — to podstawowy warunek życia. Chmury przyniosą wiosną deszcz, deszcz to święta zieleń ogrodów i pól — czyli urodzaj, bogactwo i szczęście więc ornament polichromowany ceramiki glazurowej kryje w sobie symbole wiosny, zdrowia, odnowy życia”.

W kolekcji, jaką w Muzeum prezentuje Andrzej Strumilla, najwięcej jest tej właśnie niebieskiej ceramiki o ornamentach zdyscyplinowanym i bogatym jednocześnie, ceramiki, której wzorów należy szukać głęboko w ludowej tradycji tamtych krain. Dlatego też wiele tu naczyń R. Matczanowa z Uzbekistanu, braci Sapajewa z Tadżykistanu, braci Schilbów, M. Chodżajewa, a także Chamro Rachimowej i Gafura Chaliowa. Ci ostatni, to twórcy do czegoś na świecie niepodobnych, niesamowitych w swym surrealizmem wzorów — gładkich zabawk-wisłunów, które w Azji sprzedaje się w dzień wiosennego zrównania dnia z nocą i gwiedzie bez opamiętania, bo ten świat sprowadza pomoc zyciodajny deszcz.

ANDRZEJ KOZIARA



Gliniana kaza o mocnym spożyciu — jedna z ceramicznych zabawek Gafura Chaliowa z Tadżykistanu.

władz finansowych. Trzeba przy tym wiedzieć, że żaden przepis nie daje możliwości całkowitego zwolnienia ZPAP z opłat, a wręcz przeciwnie, Uchwała Rady Ministrów z października 1980 roku nakłada na nas taki obowiązek nawet w przypadku, gdy najemca podejmuje działalność „o niekwalifikowanej wartości społecznej, charytatywnej itp.”. Zapropionowaliśmy jednak Związkowi zniknąć — 80-procentowa za pracownię finansową i 20-procentowa za lokal biurowy oraz Klub. Znaleźliśmy także sposób na odciążenie kasy Związku poprzez oddanie pracowni graficznej i Klubu w administrację BWA, pozostawiając Związkowi pełną swobodę działalności programowej. W formie rekompensaty za czynsz jaki agent Klubu płaci Związkowi w wysokości trzech tysięcy zł miesięcznie gwarantowaliśmy taką samą sumę z budżetu BWA. Do placenia pozostałby zatem tylko niewielki, do połowy obniżony czynsz za lokal biurowy.

W punkcie dotyczącym zakupów dzieł sztuki przez BWA, zgodzono się, że nie może to być mniej niż 300 tys. zł rocznie. Ustalono, że z każdej organizowanej przez BWA wystawy doko-

nywać się będzie zakupu jednego dzieła, o którego wyborze zdecydowałby Komitet Artystyczny Związku.

Zadnego natomiast porozumienia nie udało się osiągnąć w sprawie przydziału mieszkania Annie S., która od lat przebywa w szpitalu dla psychicznie chorych w Chorzele. Być może stan jej zdrowia znacznie by się polepszył i malarzka mogłaby wrócić do twórczej pracy, gdyby ze szpitala wyszła, ale w Białymstoku mieszkanie dać jej nie można, ponieważ formalnie jest mieszkanką województwa suwalskiego, zameldowaną w Augustowie. Z tej przyczyny społeczna komisja przydziału mieszkań w Białymstoku i zarejestrowanie jej w spółdzielni mieszkaniowej, to będzie wprawdzie przydział jej mieszkania w Białymstoku. Jednak i w tej sprawie wieloletnie odmrażanie związkowych uszu — na złość babci.

WŁADYSŁAW SEKUNDA,

dyrektor Biura Wystaw Artystycznych: W ubiegłym roku zorganizowaliśmy

kierunku śladnych działań, ani też nie wpadł na pomysły, że z tą sprawą można by zwrócić się do suwalskiej administracji.

Sprawy plenerów w Białowieży i Hajnówce, problem upowszechniania sztuki, integracja architektury i plastyki w białostockim pejzażu, a także kłopoty z pracownikami, to nie są kwestie, które można by rozwiązać od ręki i na pewno nie drogą wymuszania administracyjnych decyzji. Zaniedban w białostockiej kulturze jest dużo i nie wzięty się od wczoraj, a więc nie od razu, nie dzisiaj da się je usunąć. Więc może zamiast bojkotu, trzeba jednak próbować wspólnie to i owo załatwić? Zwłaszcza, że przypomina to nieco przysłowie odmrażanie związkowych uszu — na złość babci.

WŁADYSŁAW SEKUNDA, dyrektor Biura Wystaw Artystycznych: W ubiegłym roku zorganizowaliśmy

zorganizowaliśmy wystawę białostockich artystów. Piętnastą, grudniową wystawę rzeźby Albina Sołokońskiego zaskoczył bojkot. Pozostał po niej bar-

duzo dobry katalog z trzema wstępnymi i trzydziestoma dwoma reprodukcjami, a wśród nich reprodukcja rzeźby nomen omen zatytułowaną „Nikt nie widział”. W tym roku w styczniu nie odbyła się wystawa środowiskowa, na którą miały się złożyć prace kilku twórców. I do tej wystawy miałem w planie i w budżecie duży katalog z kolorowymi reprodukcjami. Ekspozycja miała pojechać do Łodzi, Poznania i Warszawy, miała przekonać widzów w kraju, że w Białymstoku tak właśnie malują. Nie będzie pokazu rysunków. George’a Andreeva (też członek naszego okręgu), nie wystawi malarstwa Anatol Korzun, nie zobaczymy rzeźby Jadwigi Zaleskiej, malarstwa i grafik Wiesława Jurkowskiego, a także malarstwa, scenografii i kostiumowych projektów Józefa Gniatkowskiego. I pewnie jeszcze kilka wernisarzy białostockich twórców się nie odbędzie.

Szkoda, bo właśnie teraz kiedy brakuje pasty do zębów i kiełbasy, kiedy buty są na kartki a żarówkę nie ma wcale, właśnie teraz w czasie niedoboru wartości materialnych szczególnie troskliwie należałoby chronić wszelkie wartości du-

chowe, artystyczne. W przeciwnym razie pojadąmy się nawzajem, zanim tej kiełbasy wreszcie się dorobimy. Powstrzymywanie się od wystaw? — to brzmi za słabo, nie oddaje tego co właściwie się stało. Myślę, że autor, który wystawiać nie może, okropnie się męczy. Co czuje kiedy wystawiać nie chce?

W programie wystaw „dział” nie ma żadnych, bo twórcy z kraju zignorowali apel kolegów z Białegostoku i chętnie przysyłają swoje prace. W pierwszych dniach marca otwieramy wystawy Fijałkowskiego i Artymowskiego.

Tyle, że najważniejszych trzech punktów wladzenia. Trzy racie, każda inna. Jest gorący głos artysty, chłodny — administratora i refleksyjna wypowiedź tego co między młotem a kowadłem. Niby wszystko w porządku, bo jakie malarstwo i w sposóbniem trybuna przywołują paragrafy i ustawy, a urzędnikowi państwowemu nie wierzyć w skuteczność administracji? Niby wszystko w porządku — do trze się to, wzajemnie uzupełnia, wyklucza. Ale bojkot trwa.

ANDRZEJ KOZIARA

Baykot

Ciąg dalszy ze str. 5

ralnej można powiedzieć, że Białystok był do tego na najlepszej drodze. My walczylismy o poprawę, stąd wzięła się uchwała Walnego Zebrania o powstrzymaniu wianu się od wystaw w BWA. Rozumiem to jako poparcie członków Związku, jako wyraz zaufania dla postawy Zarządu Okręgu.

Warto przy tym przypomnieć czego chcieliśmy w tej Uchwale, a więc: a) Przyjęcia przez władze wojewódzkie zasady konsultowania wszelkich decyzji dotyczących spraw twórczości plastycznej i środowiska plastycznego (w tym socjalno-bytowych) z Zarządem Okręgu ZPAP. b) Odstąpienia od żądania czynszu za lokale zajmowane przez ZPAP w budynku „Arsenatu” i zawarcia umów najmu na dotychczasowych zasadach. c) Przewrócenia funduszu na zakupy dzieł sztuki do zbioru

rów BWA i realizowania ich na podstawie opinii Komisji Artystycznej ZPAP. d) Przydzielenia mieszkania znajdującą się w szczególności tragicznej sytuacji życiowej kół Annie S. Po rozmowach przedstawicieli Zarządu Okręgu z udziałem wicewojewody, wiceprezidenta i dyrektora Wydziału Kultury i Sztuki UW, Nadzwyczajne Walne Zebranie Członków uznało, że wobec polowicznego załatwienia sprawy czynszu i po odrzuceniu postulatów o przydzielenie mieszkania Annie S. postanowilo uchwalić wcielić w życie.

ZYGMUNT CIESIELSKI, dyrektor Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego: Wcielanie Uchwały w życie, to przejaw braku woli współdziałania Związku z administracją, lub niezrozumienia podstawowych zasad prawnych, a najpewniej jedno i drugie. Na spotkaniu wicewojewody biało-

stockiego z przedstawicielami środowiska plastyków ustalono bowiem, że wszelkie decyzje władz wojewódzkich dotyczące tworzenia i upowszechniania sztuki, także sprawy związane z instytucjami tym się zajmującymi jak BWA, Muzeum oraz problemy socjalno-bytowe środowiska plastycznego będą konsultowane z Zarządem Okręgu ZPAP. W dyskusji wyjaśniliśmy sobie, że w tych kwestiach, nawet w rzekomym sporze o Gałerii Sztuki Współczesnej, nie było większych kontrowersji. Chodziło np. o to czy rozpisć konkurs na kierownika Gałerii, czy nie. Związek chętnie konkursu, więc go rozpisano i nikt się do konkursu nie zgłosił. Zresztą Krzysztof Tur od początku był o wszystkim dokładnie poinformowany, uczestniczył w naradach na ten temat.

Jeśli idzie o czynsz, to postanowiono go egzekwować po pokontrolnych zaleceniach



Ursula Andress
jako Afrodyta
i Laurence
Olivier w roli
„Jaka bogów
Zeusa”
w superpro-
dukcji wytwór-
ni MGM „Star-
cie Tytanów”
w reżyserii
Desmonda
Davisa.
CAF — Ca-
mera

„Postanowiłam wziąć za pióro, żeby ustawić wszy-
stko na swoim miejscu. Napisałam o mnie masę nie-
wiarygodnych rzeczy i przeżyciach, aby zrobić
forse... Nazywam się Marlena Dietrich — i nie jest to
wcale pseudonim, jak się często pisze...”

Tak rozpoczyna się książka wspomnień jednej z największych aktorek naszego stulecia, która rozpoczęła niedawno (czego bynajmniej nie ukrywa) 81 rok życia. Życia, wypełnionego wspaniałą karierą filmową, fascynującą karierą piosenkarską i jednocześnie życia, zaznaczonego bezkompromisową, aktywną postawą wobec faszyzmu hitlerowskiego.

MARLENA — ANTYFASZYSTKA

Stegając pamięcią do okresu II wojny światowej Marlena Dietrich pisze: „Do dziś dnia otrzymuję listy z RFN, poruszające wciąż ten sam problem: Przecież jest pani Niemką i nieraz podkreślała pani, że jest nią w istocie. Dlaczego więc wstąpiła pani do armii, walczącej z Niemcami?”

Dziwi mnie, że pytania takie zadają ludzie starsi po tym wszystkim, co działo się w hitlerowskim państwie przemocy, poniżenia i niesprawiedliwości. Wówczas, być może, nie wszyscy o tym wiedzieli. Teraz powinni wiedzieć.

Młodym, którzy nie pamiętają tamtych czasów, pragnę powiedzieć: Czulam się odpowiedzialną za wojnę, która rozpełzała Hitler, czulam się winną za naród niemiecki i w miarę moich możliwości starałam się również przyczynić do tego, aby ta wojna skończyła się jak najszybciej!”

GALERIA WSPANIAŁYCH POSTACI...

Wiele miejsca w swej książce, noszącej tytuł: „Weźcie moje życie...” (od Goethowskiego „Nehmt nur mein Leben”) poświęca autorka liczным spot-

kaniom z wybitnymi postaciami naszego stulecia, wśród których widnieją takie nazwiska, jak Charles de Gaulle i Ernest Hemingway, Franklin Delano Roosevelt i Charles Chaplin, Konstanty Paustowski i Świątosiław Richter, Edith Piaf i Jean Gabin...

Szczególnie ciepło wspomina Marlena Dietrich dwóch

„Weźcie moje życie...”

twórców: Josepha Sternberga, reżysera, który uczynił z niej gwiazdę filmową i popularnego dziś kompozytora amerykańskiego, Burta Bacharach, wspierającego jej karierę piosenkarską.

Opisując swych sławnych przyjaciół, wielką artystkę wysuwa na plan pierwszy te cechy ich osobowości, o których szeroka publiczność w ogóle nie wiedziała.

„Talent aktorski Jeana Gabina znany był całemu światu — pisze Dietrich — ale ktoś

się domyślał, jak niezwykle subtelny był to człowiek. Był chyba najwrażliwszym i najbardziej czułym ze wszystkich ludzi, jakich znałam”.

Wieloletnia przyjaźń łączyła ją z Hemingwayem: „Był dla mnie opoką — „Skala Gibraltar” — napisała Marlena. — Tyle lat już go nie ma, a jest mi wciąż bliski. Mówią, że czas goi rany, ale to nieprawda...”

W czasie pobytu i występów w Związku Radzieckim w 1964 roku szczególnie silne wrażenie wywarły na artystce dwie wybitne osobowości twórcze — jedną z nich był Konstanty Paustowski, którego opowiadanie „Depesza” zapamiętała na całe życie. Chęć wyrazić cały swój podziw dla wybitnego pisarza, przy spotkaniu z nim Marlena padła na kolana... („Musiałam to zrobić, bo przecież nie znam ani słowa po rosyjsku!”).

Świątosiław Richter porwał ją nie tylko swą grą, ale i sposobem bycia. „Zadziwiający człowiek, wcale nie uważa się za wielkiego pianistę, którym przecież jest w rzeczywistości. Jest to echa niezwykle rzadka u artystów tego formatu”.

Swe wspomnienia spisał Marlena Dietrich w Paryżu, gdzie mieszka od szeregu już lat, dumna z tytułu „honorowego obywatela Francji”.

W epilogu książki czytamy: „Paryż jest moim ukochanym miastem. Zachwył, który bu-
dzi w wielu z nas, wytłumaczył jest również trudno, jak miłość między kobietą i mężczyzną”.

GRACJAN KOZŁOWSKI

Z różnych stron świata

PRZEBILI MUR
GŁOWĄ

Bandyta, który wybrał się, aby obrabować bank w Londynie, zapomniał młotka. 26-letni gangster nie zrezygnował. Wziął rozpęd i głową przebił szybę oddzielającą kasę od hallu. Atak głową dał mu ok. 20 tys. funtów, ale długo się nim nie cieszył. Policja dość szybko upadła na jego trop.

DOBROWOLNIE
PŁACI PODATKI

W Szwecji, w której obowiązują najwyższe podatki w Europie, sensację wywołała 30-letnia dama, uprawiająca w Sztokholmie najstarszy zawód świata. Dobrowolnie zgłosiła się, aby zapłacić podatek od dochodu w wysokości 175 tys. koron rocznie. Nie uczyniła tego z dobrej woli, ale z powodu choroby podatkowej odczuwającej 90 procent poborów, a ponadto wysoką emeryturę lub rentę.

DWA ŻOŁĄDKI

Po raz pierwszy w historii medycyny lekarze amerykańscy stwierdzili u pewnego młodego człowieka dwa żołądki. Wprawdzie od 1617 roku lekarze zamatowali 88

podobnych przypadków, ale nigdy jeszcze z dwoma żołądkami, działającymi samodzielnie i normalnie.

TAKSÓWKARZE NIE BEZ
SKAZY

Londyńscy taksówkarze zawsze szczepili się opinii, że są najlepszymi i najuczciwszymi taksówkarzami na świecie. Ta opinia została ostatnio mocno nadźwignięta. Oto 33-letni taksówkarz, Christopher Kevin Butler, zbiegł z pół miliona dolarów. Pieniądze te zostawił w taksówce klient, który poprosił taksówkarza, aby na chwilę się zatrzymał, gdyż chciał kupić tasme z najnowszych przebojów.

„MISS MATEMATYKI”

Takim tytułem londyński „Times” obdarzył 10-letnią Angielkę, Ruth Lawrence. Dziewczynka ma zdumiewające zdolności matematyczne. Opanowała ona program gimnazjum i liceum, do matury włącznie. Mała chce zostać nauczycielką tego przedmiotu. Rzecznik uniwersytetu w Oksfordzie powiedział, że Ruth ma szansę ukończenia studiów matematycznych, mając 15 lat. Teraz zachodzi tylko pytanie, jak 15-letnia dziewczynka poradzi sobie ze starszymi od niej studentami.

JEDNOSOBOWY MARSZ
POKOJU

Od 8 lat Hindus — Swapan Kuman Chatterjee — wędruje po świecie propagując pokój, przyjaźń i miłość między ludźmi. Ten wytrwały piechur dotarł z Kalkuty do USA. Przemarszował przez 56 państw i zdziwił 22 pary butów.

(M.M.)



Najstarsze polskie wojsko to była drużyna książęca, czyli zawodowi żołnierze plus pospolite ruszenie. I jedni i drudzy dzielili się na konnicę — „pancernych” oraz pieszych, „tar-

czowników”. Gall Anonim pisze, że Bolesław Chrobry miał już „Z Poznania 1300 pancernych, i 400 tarczowników, z Gniezna 1500 pancernych i 500 tarczowników, z Grodu Włocławka 800 pancernych i 2000 tarczowników”. Z czego wynika, że zawsze łatwiej było o piechotę niż jeźdźców.

Miecz był wprawdzie jednym z ważniejszych elementów uzbrojenia tego wojska, ale że był to sprzęt raczej drogi — wcale nie najczęściej używany. Znaczenie więcej było tu włóczni i toporów, broni prostszej i tańszej, a nie mniej skutecznej. Włócznia, zwykle dwumetrowa, drewniana, ale zakończona śmiertelnie gro-

tem z żelaza służyła do pchnięcia zarówno konnym jak i pieszym. Słowiński topór bojowy na długim słupku używano do cięcia zadanych z góry z szorowaniem zamachem. Cioce topora bojowego, zadany z odpowiednią siłą i techniką rozwałczył rycerza nawet zakutego w zbroję solidnej roboty.

Miecz, włócznia i topór stanowiły broń przeznaczoną do walki wręcz. Jedyną bronią miotającą był luk wyrzucający strzał na odległość nawet 250 metrów i z siłą zdolną przedziurawić pancerz. Oprócz luków już w XI w. znano w Polsce machiny miotające stosowane przez obie strony w trakcie oblężenia. Był to jakby ol-

W świecie sztuki

Funkcjonowanie ognisk muzycznych w Polsce stanowił spory problem społeczny nie mający odpowiednika w innych krajach. Zrodził się on w wyniku dążeń do organizacji swobodnego i celowego umuzykalniania społeczeństwa. Dążenia te pozostawały w ścisłym związku z powstawaniem oraz rozwojem państwowego szkolnictwa artystycznego. Również ognisk i państwowego szkolnictwa artystycznego wzajemnie się warunkowały.

W ostatnich latach nastąpił wzrost społecznej roli stowarzyszeń w upowszechnianiu kultury, a przede wszystkim w upowszechnianiu muzyki. Wzrost ten towarzyszyło powiększanie zasięgu oraz kulturalno-wychowawczego znaczenia społecznych ognisk muzycznych. W okresie tym wykrystalizowała się struktura społecznego ruchu ognisk, które zaczęły pełnić zintegrowane funkcje kształcenia muzycznego słuchaczy na świadomości i czynnych odbiorców muzyki oraz placówek aktywizujących lokalne życie kulturalne.

Ogniska, poprzez tworzenie sytuacji wychowawczych i realizację wychowania przez sztukę, stają się podstawą praktycznego rozwiązywania problemów wychowawczych młodzieży, współuczestniczą oraz wzbogacają wychowanie estetyczne. Łączenie działań pedagogicznych szkół z działalnością ognisk, to właściwy sposób wprowadzania dzieci oraz młodzieży w świat sztuki i włączenia jej wartości wychowawczych do procesu kształtowania aktualnego oraz przyszłego życia człowieka.

Trzydziestoletnia działalność społecznych ognisk muzycznych w Polsce doczekała się monograficznego opracowania. Stanowi ją wydana ostatnio książka Stanisława Malewskiego „Społeczne ognisk muzyczne. Idea umuzykalniania społeczeństwa”, sygnowana przez Białostockie Towarzystwo Muzyczne. W pracy — będącej wynikiem wieloletnich badań — autor przedstawia historię powstawania oraz rozwój społecznych ognisk muzycznych, stan lic-

TERESA ZANIEWSKA

*) Stanisław Malewski, „Społeczne ognisk muzyczne. Idea umuzykalniania społeczeństwa”, Białostockie Towarzystwo Muzyczne, Białystok 1981, s. 189, nakład 50 egz.

Pancerni i tarczownicy



ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z NRU 11

POZIOMO: opieka, skobel, ogół, Apis, małż, trampolina, arkan, skat, artystka, kwiat, amper, adapter, azur, nurt, chalupa, Soczi, wyspa, dentysta, opar, ołtarz, dewastator, a-tut, Arad, cera, siałom, tabaka. PIONOWO: ogar, półksiężyc, liza, katar, kapot, balsam, epik, lina, ośmista, bary, satyra, narciarka, „Trabant”, sztruks, kar-nawał, parostatek, osłoda, baszta, zdrada, netto, yeti, torba, Pers, awal, taca, rura.

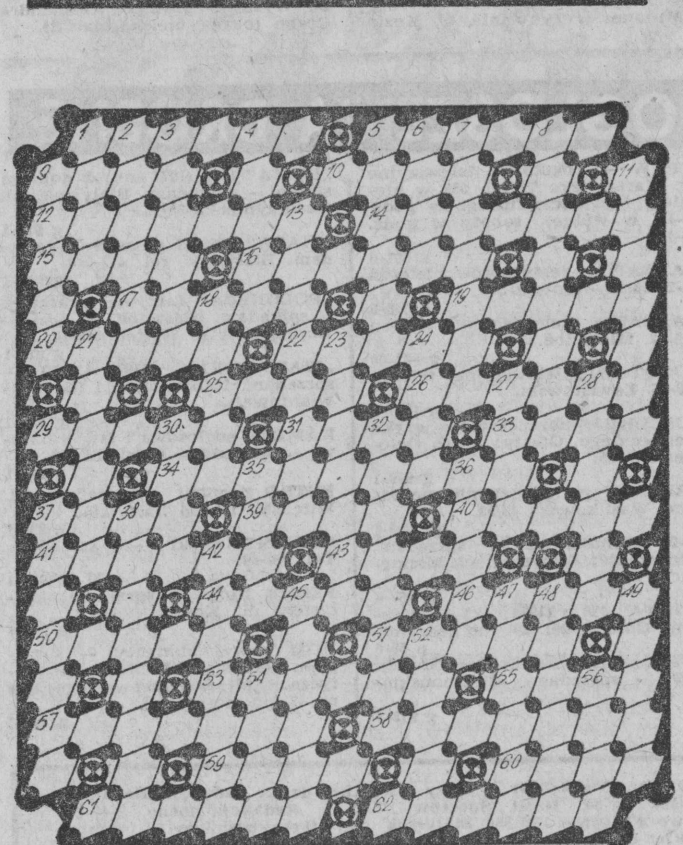
NAGRODY

Za bezbłędne rozwiązanie krzyżówki zamieszczonej w „Gazecie” nr 26 z 5 lutego br., nagrody książkowe wylosowali: Irena Grycz ze wsi Łazary, Marek Puchowski z Sejna, Zbigniew Radek z Biel-ska Podlaskiego, Andrzej Sił-wka z Piszca oraz Kazimierz Zenkiewicz z Białegostoku.

Nagrody prześlemy pocztą.

(12)

KRZYŻÓWKA



POZIOMO: 1) mały fiolet, 5) naczynie z klepek, 9) przepływa przez Florencję, 10) pył, 12) między żebrami a miednicą, 14) narzędzie murarskie, 15) rodnik alkaliczny, 16) słodzik, 17) zawiera taninę, 19) gramofonowa, pilśniowa lub kuchenna, 20) jedno ze świadczeń państwowych, 22) gila, 25) najstarsza epoka jury, 26) interwał muzyczny, 29) jeden ze zmysłów, 31) wdzięk, urok, 33) uczy moralności, 34) uczestniczka hulanki, 37) pies myśliwski, 39) obchodzą imieniny 27 kwietnia, 40) miłości, 41) sproszkowany tytoń, 43) roślinna przyprawa, 44) miasto egipskie, w pobliżu którego znajduje się wielki hydrowez, 46) różga, 50) dom mieszkalny dla podróżnych, 51) tkanina ubraniowa, 53) część noża, 55) kawałki drewna porąbanego na opał, 57) typ aktor-ki, 58) przodek rodziny, 59) czarny napój, 60) ogon lisa, 61) antonim zysku, 62) Ojczyzna.

PIONOWO: 1) kawałek grubego, prostego drutu, 2) kolor niebieski, 3) grzyb jadalny,

4) królowa zwierząt, 5) pek kwiatów, 6) jezioro w Kanadzie i USA, 7) robocza część koparki, 8) osoba ubiegająca się o jakieś stanowisko, 9) alarm geofizyczny, 11) do malowania, 13) solenizant marcowo-wrześniowo - październikowy, 18) zabawka dziewczęca, 21) włóczki, 23) otarcie, 24) boisko tenisowe, 27) drużyna sportowa, 28) wyskok, figiel, 30) zasila Wartę, 32) wywiad lekarski, 35) zabijaż go, żeby się nie nudził, 36) podkład do wyszywania, 37) bezdenne głębi-na, 39) pojęcie odcierane, 42) piuska, 45) akt sejmowy, 47) dzienniczek studenta, 48) podobny do pilnika, 49) imię Christie, 52) ziemia nadawana wasalowi przez seniora, 54) rodzaj gry w karty, 56) materiał opatrunkowy.

Wśród czytelników, którzy w terminie 6-dniowym nadesłali prawidłowe rozwiązania, rozlosujemy pięć nagród książkowych. Na kopertach prosimy zamknąć: „Krzyżówka z nru 36”.

książki NADESKANE

BOLESŁAW PRUS — FARA-ON, Książka i Wiedza 1981, nakład 50 000 egz., str. 304 plus 670, cena 1,1/11 zł 80.—
Dwudzieste szóste wydanie wielkiej powieści.
HENRYK PANAS — GRZES-NUCY, Wydawnictwo Łódzkie 1981, nakład 30 000 egz., str. 344, cena 1 zł 35.—
Wzniesienie powieści psycho-logiczno-obyczajowej z życia małych miast.
MARIAN WALCZYŃSKI — CZWARTE KSIĘGA PRZYGO-DOZ, Wydawnictwo Łódzkie 1981, nakład 30 000 egz., str. 344, cena 1 zł 35.—
Wzniesienie znanej, również w TV, powieści obrazkowej dla najmłodszych.
GABRIELA PAUSZER-KŁO-NOWSKA — TRUDNE ŻYCIE, Wydawnictwo Łódzkie 1981, nakład 30 000 egz., str. 316, cena 1 zł 46.—
Opowieść o Bolesławie Prusie.
MARIAN PILOT — JEDNO-ROZEC, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza 1981, nakład 20 000 egz., str. 134, cena 1 zł 25.—
Powieść o miłości. Akcja toczy się na Śląsku w okresie tu powojennym.
OPRAC. A. K. Repr. Zdzisław Zaremba
CZESŁAW MICHNIAK — POROBY ALBO ZAMET W GŁOWIE, Wydawnictwo Łódzkie 1981, nakład 20 000 egz., str. 188, cena 1 zł 25.—
Tom opowiadań.
JANKA KUPALA — A KTO TAM — IDZIE, Wydawnictwo Łódzkie 1981, nakład 20 000 egz., str. 202, cena 1 zł 30.—
Wybór poezji.
JERZY SIKORSKI — KORPO-RACJE MIĘDZYKRAJOWE, Książka i Wiedza 1981, nakład 20 000 egz., str. 196, cena 1 zł 40.—
Monografia przedstawiająca genezę, rozwój i funkcjonowanie korporacji międzynarodowych.
ANDRZEJ PRZYPKOWSKI — „PALM CITY”, Wydawnictwo MON 1981, nakład 30 000 egz., str. 224, cena 1 zł 40.—
Powieść z zainicjowanej edycji „Dzieł wybranych” autora „Generala Błękit”.
JULIUSZ KADEN BANDROW-SKI — LUK, Wydawnictwo Literackie 1981, nakład 30 000 egz., str. 520, cena 1 zł 70.—
Powieść z zainicjowanej edycji „Dzieł wybranych” autora „Generala Błękit”.
WŁADYSLAW W. STRUCKOW, BORIS M. JAWORSKI — ZA-FIZYKI, Wydawnictwo Szkolne i Pedagogiczne 1981, nakład 6 000 egz., str. 472, cena 1 zł 103.—